

W NUMERZE:

CZARNY ŁĄD WZYWA

ROZMOWA

Z ADAMEM JUCHNOWICZEM SJ

DAMIAN WOJCIECHOWSKI SJ

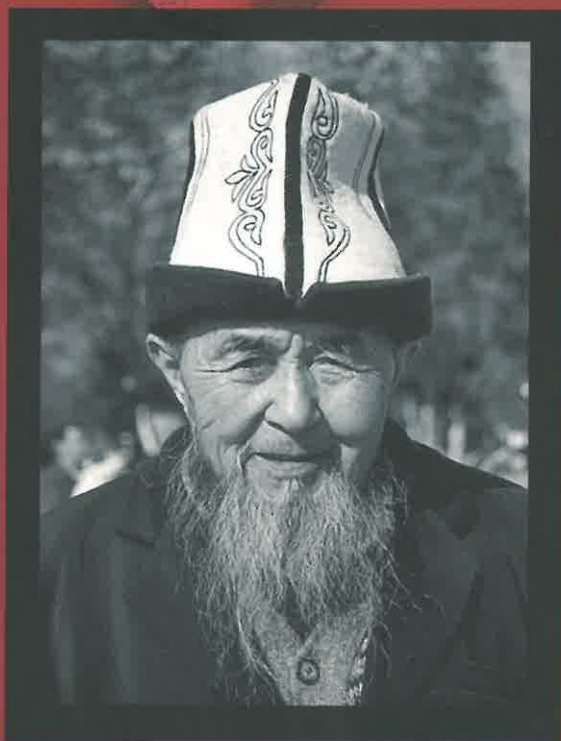
JEZUS SZUKA KIRGIZÓW

ANDRZEJ MAJEWSKI SJ

TELEWIZYJNY AREOPAG

JÓZEF BREMER SJ

O NAUCZANIU FILOZOFII SŁÓW KILKA



# JEZUICI

Nasze Wiadomości



Październik  
32 (2) 2007

# Spis treści



br. Damian Wojciechowski SJ

## Jezus szuka 14 Kirgizów



o. Andrzej Majewski SJ

## Telewizyjny 24 areopag



o. Stanisław Groń SJ

## Postsecesyjny 48 ołtarz św. Józefa

### misje

- 2 Raj utracony - Indian Guarani
- 6 Zambia w moim sercu - fotoreportaż
- 10 Czarny Łąd wzywa
- 14 Jezus szuka Kirgizów
- 20 W trosce o uchodźców

### misje inaczej

- 22 Styk wiary i kultury
- 24 Telewizyjny areopag
- 26 O nauczaniu filozofii uwag kilka
- 28 Pomoc w zaangażowaniu społecznym

### duchowość

- 30 Ocalić człowieka

### wydarzenia

- 33 Walka duchowa
- 36 Rekolekcje na Ignatianum
- 38 Христос Воскрес
- 41 Współczesna łacina

### recenzja

- 44 Niebiańska misja

### historia

- 46 Karol Antoniewicz - jezuita romantyczny

### sztuka sakralna

- 48 Postsecesyjny ołtarz św. Józefa

Redaguje zespół: Paweł Beń SJ, Marek Rosłoń SJ, Mateusz Konopiński SJ, Krzysztof Faltus SJ. Zdjęcia: Archiwum Historyczne TJ, Marek Rosłoń SJ, Karol Zagrodzki SJ, Adam Juchnowicz SJ, Martin Benko SJ, o. Tomasz Nogaj SJ, o. Norbert Frejek SJ, o. Grzegorz Tęczar SJ, o. Tadeusz Kotlewski SJ, br. Damian Wojciechowski SJ, Krzysztof Tadej, JRS Offices.

Kurator numeru: o. Stanisław Groń SJ. Nakład: 5000 egz.

# EDYTORIAL

Jeśli próbujemy kogoś poznać, bardziej patrzymy na jego czyny, aniżeli na słowa. Sam św. Ignacy Loyola napisał w 230. numerze *Ćwiczeń duchowych*: „Miłość winno się zakładać więcej na czynach niż na słowach”, gdyż to nasze działanie, tak naprawdę określa, kim jesteśmy. Popularne porzekadło brzmi: dobrymi (i w domyśle niezrealizowanymi) intencjami wybrukowane jest piekło. W tym numerze chcemy przemówić do Państwa bardziej tym, co robimy, aniżeli tym, co piszemy bądź mówimy.

Każda grupa ludzi reprezentuje swoim zachowaniem pewien etos, czyli zbiór wartości, norm i metod. My, jezuici, nazywamy to, po prostu, naszym sposobem postępowania. Jest on spisany w *Konstytucjach* i *Normach uzupełniających* do nich. Ojciec Ignacy znał wartości spisane kodeksu działania, ale wiedział również, że: „z naszej strony więcej do tego [funkcjonowania Towarzystwa i realizacji jego misji – przyp. PB] pomoże wewnętrzne prawo miłości, które Duch Święty zazwyczaj pisze i na sercach odciska, niż wszelkie zewnętrzne ustawy” (*Konstytucje*, nr 135). Mając to na uwadze, każdy z nas, jezuitów, podejmuje pracę w winnicy Pańskiej.

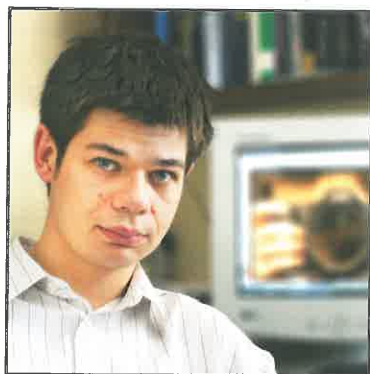
Na kolejnych stronach tego numeru prezentujemy artykuły dotyczące misji. Pierwsze, co zazwyczaj kojarzy się z tym słowem, to oddzielona oceanem Ameryka Południowa, rozżarzona Afryka, radykalny Bliski oraz skośnooki Daleki Wschód. Zaspokoimy te apetyty na samym początku, aby potem opisać inicjatywy, jakie podejmujemy w ramach nieco inaczej rozumianej misyjności. Jesteśmy posłani nie tylko do egzotycznych krajów, lecz również do środowisk nieodległych pod względem geograficznym, ale niekiedy oddalonych, biorąc pod uwagę mentalność.

Życzę przyjemnej lektury!

Paweł Beń SJ



**Paweł Beń SJ,**  
Redaktor naczelny



**Marek Rosłoń SJ,**  
Fotografia



**Mateusz Konopiński SJ,**  
Redaktor techniczny

# Raj utracony Indian Guarani

o. Grzegorz Tęczar SJ

Paragwaj, położona w sercu Ameryki Południowej republika z terytorium niewiele przekraczającym 400 tys. km<sup>2</sup> i ludnością nieprzekraczającą 6 mln, należy do najbiedniejszych i najmniejszych krajów tego regionu. Nie ma tu wielkiego przemysłu ani atrakcji turystycznych, co powoduje, że kraj ten nie jest specjalnie znany i wielu ludzi miałoby kłopoty z umiejscowieniem go na mapie świata.

Z pewnością przyda się trochę ogólnych faktów z historii, aby lepiej zrozumieć pracę i pozycję jezuitów w tym zakamarku świata.

Wraz z wielkimi odkryciami geograficznymi przełomu XV i XVI w. „cywilizowany świat” wyrusza na podbój „nowego kontynentu”. Również zakonnicy wyruszają ratunek duszom, początkowo dominikanie i franciszkanie, później jezuita. Fama złota Inków wywołuje prawdziwy wyścig za sławą i oszałamiającym bogactwem. Aby je zdobyć na podbój dzisiejszego Peru wyruszają ekspedycje, optując za jedną z trzech dróg prowadzącą do wymarzonego celu. Pierwsza, lądowa, wiedzie z północy, gdzie wcześniej już przybyli zdobywcy „nowej ziemi”. Druga, morska, pełna ryzyka i niewiadomych. Trzeba opłynąć nieznaną kontynent i dojść do celu od zachodniego wybrzeża. Trzecia, rzeczno-lądowa lub południowa, eksplorująca rzeki: Rio de la Plata i Paraguay. Zdobywcami okazali się ci, którzy wybrali drugi wariant. Inni po przybyciu na miejsce z rozczarowaniem musieli przyjąć fakt porażki. Dla historii Paragwaju relacje idących trzecią drogą, są

pierwszymi udokumentowanymi wzmiankami, w których spotykamy się z nazwami i zwyczajami Indian zamieszkujących środkową część kontynentu. Wśród nich znajdziemy Indian Guarani, najbardziej pokojowo nastawionych do „nowo przybyłych”, co pozwoliło na założenie w 1537 r. twierdzy Asunción, późniejszej stolicy Paragwaju.

Jezuici w Ameryce Płd. pojawiają się w pierwszej połowie XVI w. Już w roku 1549 O. Manuel de Nobrega zakłada pierwszą w „Nowym Świecie” prowincję Brazylii. Później, idąc za wolą Filipa II, króla Hiszpanii, jezuita udają się na Florydę. W roku 1568 powstaje prowincja Peru, w 1578 w Meksyku, a 9 lutego 1604 r. eryguje się prowincja Paragwaju. Wraz z przybyciem pierwszych jezuitów do Asunción w 1588 roku ich obecność i zaangażowanie w obronę godności Indian, nieodzowny warunek skutecznej ewangelizacji, wywołuje niezadowolenie u lokalnej władzy. Szybko jezuita są „poproszeni” o udanie się na południe guberni dla „ewangelizacji” tubylców. Ta forma pozbycia się niewygodnych a wpływowych zakonników przyniosła niespodziewane owoce. Nie zostali oni „zjedzeni” przez Indian jak się spodziewano, wręcz przeciwnie, rozpoczęli niespotykane dzieło, które znamy jako „redukcje paragwajskie”. W niedługim czasie okazało się, że osady te, przeznaczone tylko dla Indian, różnią się znacznie od obowiązującego modelu kolonialnego i stały się nie tylko schronieniem przed niewolnictwem i eksterminacją Indian, ale



również oazami życia kulturalnego i artystycznego. Z biegiem czasu wokół redukcji zaczęły narastać podejrzenia. Fama o bogactwie ojców, którzy owoce niewolniczej pracy Indian zagarniają dla siebie, bez płacenia należnych podatków Koronie, doprowadzała do zazdrości i nienawiści kolonistów, co w końcu stało się pretekstem do wypędzenia jezuitów (w roku 1768) ze zbudowanego przez nich „raju na ziemi”. Wysilek czterech pokoleń „oddany Bogu i Kościołowi” legł w gruzach.

Na nowo jezuita pojawili się w Paragwaju w 1928 r. Nie było już prawie Indian Guarani (z populacji ok. 2 mln Indian pod koniec XVIII w. żyje dziś ok. 5 tys.), a i Paragwaj zmienił się nie do poznania. Większość dawnej Republiki Guarani leży dziś poza granicami Paragwaju w Brazylii, Argentynie i Urugwaju. Od dziesięcioleci kraj toczy robak korupcji, defraudacji, nieustających skandali i bardziej lub mniej jawnych reżimów. Bieda i niesprawiedliwość społeczna, porwania, napady oraz strzelaniny na ulicy są tu chlebem powszednim.

Samobójstwa (statystycznie każdego dnia życie odbiera sobie jedna osoba), wielka emigracja, rozbite rodziny to najgorętsze problemy „kraju bez nadziei i perspektyw” - jak twierdzą jedni. Dzięki Bogu, jak mówią inni, pozostał nam jeszcze język. Żywe świadectwo naszej odrębności i kultury. Pozostał przede wszystkim dzięki pracy jezuitów w obszarze lingwistycznym. To oni opracowali słowniki i usystematyzowali gramatykę, co pozwoliło na przetrwanie jedyne w Ameryce Płd. żywego języka guarani, który obok hiszpańskiego jest językiem urzędowym w Paragwaju. Jezuita byli również u podstaw tworzonego w Paragwaju, dziś największego, Uniwersytetu Katolickiego. Zakładali seminaria duchowe i byli odpowiedzialni za formację kleru. Prowadzą tu trzy kolegia począwszy od nauczania początkowego do matury oraz sieć szkół dla dzieci ubogich - Fe y Alegria (wiara i radość). Stosunkowo niedawno otworzyli Instytut Nauk Filozoficznych i Humanistycznych. Prowadzą też 6 dużych parafii z dziesiątkami kaplic filialnych. Dwa domy rekolekcyjne oraz



Wodospady Iguazú na rzece Parana (dziś Brazylia, za czasów redukcji: Paragwaj)



Ruiny redukcji - Jesus - Argentyna.

Centrum Studiów Paragwajskich. To tylko największe z prowadzonych dzieł. Problemem dnia dzisiejszego dla Towarzystwa są powołania. Prowincja Paragwaj stanowi 80 jezuitów, z czego większość to jezuici liczący powyżej 70 lat. Pokolenie wieku średniego nie przekracza 30 osób. Perspektywa nie przedstawia się w różowych kolorach. Przewiduje się, że za kilkanaście lat liczba jezuitów spadnie tu do 40 i egzystencja niektórych dzieł apostołskich stoi pod znakiem zapytania. Dlatego jednym z pierwszoplanowych zadań prowincji jest praca z młodzieżą oraz efektywniejsza praca powołaniowa. W obszarze pracy pastoralnej najważniejsza jest „nowa ewangelizacja” i gruntowna formacja. Wielu ludziom brakuje solidnych fundamentów życia chrześcijańskiego. Chrześcijaństwo często sprowadzane jest do powierzchownej religijności, gdzie różnym znakom przypisywany jest soteriologiczny charakter. I tak, dla wielu błogosławieństwo księdza, rodziców czy dziadków jest waż-

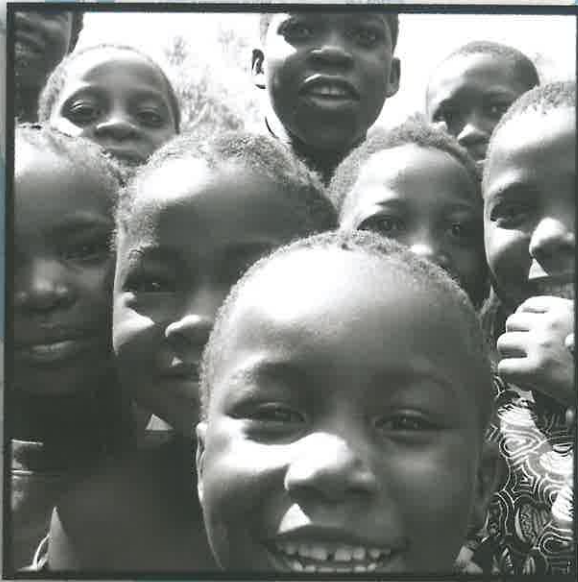
niejsze niż uczestnictwo w Eucharystii. Święty obrazek, różaniec, krzyżyk itd. to rodzaj „katolickich amuletów”, które chronią przed nieszczęściem. Brakuje głębszej świadomości, że za tymi wszystkimi zewnętrznymi oznakami religijności stoi osoba Jezusa Chrystusa – prawdziwego i jedynego Zbawiciela. Takie przeżywanie wiary oczywiście nie niesie ze sobą oczekiwanych owoców nawrócenia. Wyznacza natomiast obszar apostołskich działań. Widząc ogrom potrzeb i brak „jezuickich” rąk do pracy, w prowincji paragwajskiej kładzie się nacisk na formowanie laikatu (nauczycieli, wychowawców, dyrektorów dzieł, katechistów, itp.) oraz szukanie wsparcia z zewnątrz, w innych prowincjach, gdzie sytuacja personalna nie przedstawia się tak tragicznie. W zeszłym roku została zapoczątkowana polsko-paragwajska współpraca i mamy nadzieję, że przyniesie oczekiwane owoce. Panu Jezusowi polecamy wszystkich, którzy w swoim sercu noszą misyjne powołanie. ■



# sj misje.missions

## al wiele informacji

serwis misyjny polskich jezuitów



Relacje z misji  
na całym świecie

Sylwetki misjonarzy

Zdjęcia

Wiele innych informacji

# www.misje.jezuici.pl

Jeśli chcesz wspomóc jezuickich misjonarzy:

BGŻ SA O/Warszawa

ul. Puławska 29, 02-508 Warszawa

Rachunek PLN: 64203000451110000001018520

Rachunek USD: 82203000453110000000035690



# Zambia w moim sercu

Tekst i zdjęcia: o. Tomasz Nogaj SJ



*Afryka jest jak wielki dom z licznymi pokojami. Każdy pokój to inne, odmienne wnętrze, a każde wnętrze to niepowtarzalny zapach Ziemi, siła i duch człowieka. Afryka otwiera swoje drzwi i nigdy ich nie zamyka. Afryka nigdy się nie kończy... Dorota Łajło*

Przypominając sobie misjonarzy pracujących w Zambii, pamiętam ich troskę przede wszystkim o człowieka. Parafie, szkoły, dom rekolekcyjny i wiele innych miejsc i zajęć, które angażują na sto procent każdego, kto chce się poświęcić dziełu misji Kościoła, dziełu zbawienia świata z Chrystusem. Każdy z tych misjonarzy ma ogromny багаż doświadczeń zdobytych

tam na miejscu w Zambii jak i tę swoją osobistą historię, która głęboko w sercu jest jedyna i niepowtarzalna.

Wielu pyta: Po co chcesz tam jechać? Czy tam nas chcą? Zanim pojechałem po raz pierwszy, miałem jedną odpowiedź, a brzmiała ona: „bo czuję, że to jest coś, do czego Pan Bóg mnie powołuje”. Teraz, gdy po kilku latach na spokojnie oceniam to WIELKIE WYDARZENIE w moim życiu, jakim był wyjazd do Zambii, powiem krótko - kiedy raz człowiek postawi nogę na afrykańskiej ziemi, będzie chciał tam wrócić. Głęboko w sercu wciąż wierzę, że Bóg mnie powołuje do misji. Jaka ona będzie? Gdzie? Kiedy? On Sam to wie, a czas pokaże.

Wiele razy, kiedy pokazywałem zdjęcia z mojego dwumiesięcznego pobytu w Zambii, słyszałem słowa: „Niesamowity widok... Ale piękne, fantastyczne widoki... słonie... i nawet król zwierząt (którego miałem okazję widzieć na wolności) „u siebie w domu”, a nie w ZOO... rzeka Zambezi z krokodylami i hipopotamami, małpy w wielu miejscach dające się we znaki turystom (bo ludzie wchodzą na ich teren)... i mnóstwo innych atrakcji, które pociągają swoją odmiennością.





Zimne noce i upalne dni, uśmiechnięci i przyjaźni ludzie, którzy zapraszają, by towarzyszyć im w ich codziennym życiu – to wrażenie, które zostało mi nawet dziś po 6-ciu latach od wyjazdu do Zambii. Szczególnie głęboko w sercu zapadły mi spotkania z jezuitami pracującymi w Zambii, z Kardynałem Adamem Kozłowieckim, z siostrami służebniczkami starowiejskimi. W pamięci pozostają wciąż te miejsca, o których wcześniej tylko słyszałem lub czytałem: Chingombe, Katondwe, Kasisi, Kabwe, Choma, Centrum Pastoralne KIZITO i wiele innych...









W centrum misji jest Chrystus i człowiek, do którego posyła On Ciebie i mnie. Warto pamiętać o tym, jak wielu misjonarzy, zakonników i osób świeckich poświęciło całe swoje życie, aby dać je drugiemu, bardziej potrzebującemu od siebie. I dziś Afryka, a w szczególności Zambia, potrzebuje naszej modlitwy i naszego zaangażowania.



# Czarny Łą wzywa

O przygotowaniach do wyjazdu na magisterkę oraz o początkach swojej pracy w Zambii opowiada Adam Juchnowicz SJ

Wywiad przeprowadził *sch. Paweł Beń SJ*

*Witam Cię, Adamie, i cieszę się, że zgodziłeś się odpowiedzieć na kilka pytań. Przed Twoim wyjazdem do Zambii spędziliśmy razem rok w krakowskim kolegium. Już z tamtego czasu pamiętam Twoje zainteresowanie Afryką. Muszę jednak przyznać, że nie zadałem Ci do tej pory pytania o początek Twoich pragnień misyjnych. A więc, jak i kiedy rodziły się one w Tobie?*

Przede wszystkim wielkie dzięki za pamięć, zainteresowanie i zaproszenie do podzielenia się moimi wrażeniami z pobytu w Zambii!

Skąd wziął się pomysł na Afrykę? W ciągu dwu lat, które spędziłem w nowicjacie w Gdyni, często odwiedzali nas jezuici pracujący w różnych egzotycznych miejscach świata, takich jak: Chiny, Kirgistan, Syberia, Egipt, Syria, Boliwia. Byli wśród nich także ojcowie: Andrzej Leśniara, Tadeusz Świdorski, Józef Matyjek i Bronisław Kondrat z Zambii. I właśnie spotkania z misjonarzami z tego regionu zawsze jakoś szczególnie poruszały moją wyobraźnię.

Zapamiętywałem dobrze wiele wątków z ich opowiadań. Stopniowo wszystko zdawało się układać jak układanka z puzzli. Nie mogłem obronić się przed wrażeniem, że to miejsce pracy jest jakby „specjalnie dla mnie”.

Choćby taki szczegół, że ogólnokrajowym, oficjalnym językiem (oprócz ponad 70 języków lokalnych) jest w Zambii angielski.

A to od szeregu lat było moim małym hobby. Jeszcze w czasie studiów w KUL-u byłem zaangażowany w anglojęzycznej grupie biblijno-modlitewnej. Podobnie w naszym duszpasterstwie WAJ w Krakowie (w czasie filozofii) zasilałem spotkania konwersacyjne, które żartobliwie nazywaliśmy Tuesday Night Club.

Różne drobne, codzienne wydarzenia na każdym, kroku przypominały mi o idei pracy w Zambii, inspirowały do myślenia w tym kierunku. Na przykład kiedyś w Gdańsku, na starym mieście, w Niedzielę Palmową zśliśmy w procesji młodzieży z palmami do kościoła Św. Anny. Zobaczyłem wtedy na murze nieco zaskakujący napis: POLSKA JEST RAJEM! Zaciekawiony podszedłem bliżej. Poniżej było wyjaśnienie: „Już najwyższy czas, abyśmy zaczęli pomagać biedniejszym narodom”. To był plakat reklamujący jakąś organizację charytatywną wspierającą kraje Trzeciego Świata. Ale ja ten plakat odczytywałem po swojemu „(...) czas żebym pojechał do Afryki”. Innym razem szukałem w Internecie tekstu „Zdrowaś Mario” po niemiecku. Ale na ekranie – nie wiedzieć dlaczego – wyświetlił się tekst tej modlitwy w języku Bemba (jednym z głównych języków lokalnych w Zambii)!

*Jak mijał Ci czas przed wylotem na czarny kontynent?*

Ostatnie miesiące w Polsce były zupełnie niesamowite. Niemal co kilka dni, bez



specjalnych zabiegów z mojej strony, spotykałem kogoś, kto był w Zambii, wkrótce się tam udawał i/lub w jakiś sposób służył mi radą i pomocą w dobrym przygotowaniu do wyjazdu.

Najpierw w Krakowie odwiedził nas o. Wiesław Słowik, który po drodze z Australii zatrzymał się jakiś czas w Zambii. Pożyczył mi książkę o diecezji Monze (w której teraz jestem), dokładną mapę tego regionu, pokazał wspaniałe zdjęcia. Potem, w któryś weekend, pojechałem do Nowego Sącza, do prowadzonej przez jezuitów parafii NSPJ, aby pomóc – jak to często robią scholastycy z Kopernika – w niedzielnych mszach świętych. Wchodzę do domu a tam „czeka na mnie” o. Jan Kiełbasa, który właśnie przyjechał z Zambii na urlop. Przejeżdżając przez Warszawę zatrzymałem się na Świętojańskiej, gdzie spotykałem przebywającego akurat w Polsce ekonoma Prowincji Zambia-Malawi – o. Brronisława Kondrata. Kiedy pojawiłem się na Jezuitskich Dniach Młodzieży w Świętej Lipce ([www.jezuici.pl/jdm](http://www.jezuici.pl/jdm)), okazało się, że w tym roku jednym z gości jest o. Władysław

Gągolski, od ponad 30 lat pracujący w (no, no, zgadnijcie gdzie? :-)) Kończąc w Gdyni swoje rekolekcje, dowiaduję się, że Trójmiasto odwiedza akurat Alan Fernandez – ówczesny dyrektor Jezuitskiego Biura Misyjnego z Londynu (dla którego Chikuni – jak sam mówi – jest ulubioną placówką jezuicką w Afryce) i chciałby się ze mną zobaczyć. Przy okazji spotykam się także z Marią Kreft, tuż po jej powrocie z kilkumiesięcznego wolontariatu w dokładnie tej samej miejscowości, w której ja mam spędzić najbliższe dwa lata! Marika „zaraziła mnie” swoim entuzjazmem i zapalem do Chikuni. Wspólnie opowiadamy o Zambii i zbieramy ofiary po mszach świętych w naszej Parafii w Gdańsku-Wrzeszczu na pomoc najbardziej potrzebującym dzieciom i młodzieży ze szkół radiowych i szkoły w Chikuni. Udaje się nam zebrać ponad 6 tys. zł!

To było też niezwykle doświadczenie Bożego działania jak też ludzkiej życzliwości i gościnności: naszych zakonnych współbraci i parafian – w tym przemitych Rodziców i Rodzeństwa Kuby

Szelki, mego Współbrata z tego samego roku nowicjatu którzy wieczorem zabrali mnie do domu na kolację i przyjęli z ujmującą serdecznością.

Przed samym wyjazdem z Polski pomagam jeszcze w organizowanych przez WZCh rekolekcjach dla chorych na stwardnienie rozsiane w Magdalence pod Warszawą. No, tym razem to już chyba na pewno nie spotkam nikogo z Zambii – myślę. Jakże się myślę! Jedną z uczestniczek jest siostra Francesca, która przez

*pierwszych chwilach i pierwszym wrażeniu po znalezieniu się w Afryce?*

Oczekiwanie na wizę i przygotowania do wylotu latem 2006 trwały dosyć długo. Chwilami ogarniało mnie zniecierpliwienie i zastanawiałem się: czy ten wyjazd w ogóle kiedyś dojdzie do skutku?

Pewnie dlatego też, gdy przyszedł wreszcie wyznaczony czas i znalazłem się w samolocie, a po kilkunastu godzinach w samochodzie, który zawiózł mnie



kilkanaście lat mieszkała i pracowała właśnie w tym południowo afrykańskim kraju.

Ostatni przystanek przed Lusaką to Londyn. Zatrzymuję się tu na tydzień w gościnnej, dynamicznej wspólnocie i parafii polskiej na Walm Lane w Londynie. Znowu doświadczam życzliwości i wsparcia współbraci jezuitów, pracujących przy parafii Sióstr Sług Jezusa oraz ogromnej hojności wiernych (zbiórka w ostatnią niedzielę przed moim odlotem przyniosła £1200 na edukację w Charles Lwanga).

*Przyznaję, to niesamowite spotkać tylu ludzi związanych z miejscem tak drogim Twemu sercu. Chciałoby się powiedzieć, że te spotkania były nie z tej ziemi. Czy mógłbyś nam opowiedzieć o Twoich*

do Chikuni, początkowo nie mogłem uwierzyć własnym oczom. Łapałem się na pytaniu:

- Zaraz, zaraz. Gdzie ja właściwie jestem?

- To już jest Chikuni?? Niemożliwe!

- Ale z drugiej strony... Wszyscy w koło są czarni, słyszę bębny, afrykańskie pieśni, w których nie rozumiem ani słowa. Kiedy wsiałam do samochodu kierownica jest z prawej strony a radio wyświetla: CHIKUNI FM. Kiedy wysiadam, widzę budynki Charles Lwanga College – dokładnie te, które widziałem wcześniej na zdjęciach Mariki... - No tak. – Poddaję się w końcu. Wszystko wskazuje na to, że naprawdę jestem w Chikuni.



*Teraz jesteś w Afryce już ponad pół roku. Zadomowiłeś się, podjąłeś pracę i działalność duszpasterską. Czy mógłbyś powiedzieć coś więcej o życiu w tak egzotycznym dla nas, Polaków, miejscu?*

Ogólnie mówiąc, jestem bardzo zadowolony i szczęśliwy pracując tutaj. Ludzie są przyjaźni, życzliwi, otwarci, bezpośredni. Mimo powszechnej biedy i różnorodnych problemów, mają w sobie dużo energii, spontaniczności, radości życia. Z wdzięcznością przyjmują nasze wysiłki. To wszystko sprawia, że praca w Zambii daje ogromną satysfakcję.

Oczywiście warunki techniczne są trudniejsze niż w Polsce. Ale z drugiej strony od tego, że książek nie jest za wiele, że często nie ma prądu, Internetu albo że ksero czy komputery są zdezcelowane przecież się nie umiera! :-)

I pocieszające jest to, że tubylcy też tak na to patrzą. Są cierpliwi, wytrwali, nie narzekają, cieszą się z tego co mają i co mogą robić. No i oczywiście są chętni do nauki, pełni entuzjazmu, starają się dobrze wywiązać z zadań domowych, esejów itd.

Na ile mogę naturalnie angażuję się w różne działania duszpasterskie – wspierając – najpierw Boba Glynna, a ostatnio nowego kapelana Gerarda Karasa (PME). Pilotuję cotygodniowe grupy dyskusyjno-katechizacyjne, pomagam w szkoleniu lektorów, w grupie powołaniowej, uczę modlitwy ignacjańskiej etc.

Przyroda też jest wspaniała. Mamy teraz mnóstwo fantastycznych egzotycznych owoców. A jadąc samochodem trzeba uważać, żeby nie uszkodzić przeprawiającego się na drugą stronę żółwia, kameleona albo węża! Jak na ra-

zie mi się to udaje. Ryzyka przejechania małpek raczej nie ma, bo one poruszają się szybko. O wodospadach Victorii (jak mówią tubylcy, Mosi-o-Tunia, czyli „dym, który grzmi”) już nawet nie wspominać, bo tego się nie da opisać słowami. To po prostu trzeba zobaczyć!

*Wracasz niekiedy myślami do czasu spędzonego w kolegium na Kopernika?*

Oczywiście! Jestem Panu Bogu i Towarzystwu bardzo wdzięczny za ten czas. To był dla mnie okres wzrostu, umacniania relacji z Bogiem, poznawania filozofii, ale może jeszcze bardziej poznawania ludzi i siebie w relacjach z nimi. Miło wspominać także serię zajęć, którą miałem przyjemność poprowadzić na „Ignatianum” (do czego zachęcił mnie o. prof. Darowski). Co ciekawe, tu, w Charles Lwanga College, okazało się, że była potrzeba, bym prowadził zajęcia dokładnie na taki sam temat jak w Krakowie.

*Adamie, serdecznie dziękuję za rozmowę. Życzę licznych owoców duszpasterskich i nieustającego wsparcia z góry...*

Wielkie dzięki. Na koniec, Pawle, jeśli pozwolisz, chciałbym, tą drogą, gorąco podziękować wszystkim zakonnym Współbraciom, Rodzinie, Przyjaciołom i wielu życzliwym Osobom, których modlitwy, wsparcia i pomocy doświadczyłem i wciąż doświadczam – zarówno przed wyjazdem, jak i na „Czarnym Łądzie”.

Zapraszam do odwiedzania naszej internetowej strony misyjnej [www.jezuici.pl/misje](http://www.jezuici.pl/misje), gdzie można znaleźć, co jakiś czas aktualizowane, relacje z „misyjnych frontów”.

*Mam nadzieję, że rozmowa z Tobą i nasza strona rozpali w kimś ducha misyjnego. ■*

# Jezus szuka Kirgizów

br. Damian Wojciechowski SJ

Mija już ponad rok od momentu, kiedy z Ojcem Krzysztofem Korolczukiem przyjechaliśmy do położonego na południu Kirgizji Dżalalabadu. Wcześniej pracowaliśmy na północy, w stolicy Kirgizji, w Biszkeku. Na północy Kirgizji, w Czujskiej Dolinie, istnieją już od wielu lat katolickie parafie i wspólnoty, które regularnie są odwiedzane przez księży i siostry zakonne. W Dżalalabadzie mieliśmy wszystko zaczynać od zera. Na początku mieszkaliśmy u zaprzyjaźnionej muzułmańskiej rodziny, potem wynajęliśmy małą domkę, by w końcu wiosną kupić dom, w którym zorganizowaliśmy kaplicę i swoje mieszkanie.

Naszą pracę można podzielić na duszpasterstwo wśród ludzi, których przodkami byli katolicy, pracę charytatywną wśród ludzi różnych narodowości i preewangelizację wśród muzułmanów, przede wszystkim Kirgizów.

## Wszystko co uczyniliście jednemu...

Praca charytatywna to przede wszystkim spotkanie z biedą i cierpieniem, które trudno sobie w Europie wyobrazić. Odwiedzamy dom starców, dom dzieci inwalidów i więzienie. Właściwie niewiele można w takich miejscach zrobić: rozdzielić trochę owoców lub słodyczy,



Zapewne zawsze, kiedy człowiek wyrusza na misje daleko od stron rodzinnych, musi być przygotowany, że doświadczy wielu rzeczy, których nie da się wcześniej przewidzieć. Jest to przygoda i duchowe wyzwanie, które Bóg stawia przed każdym misjonarzem. Trzeba się zmierzyć z wieloma zupełnie nowymi problemami i zadaniami.

pokazać jakiś film i porozmawiać. W domu dzieci inwalidów, gdzie żyje 120 wychowanków, połowa dzieci jest tak głęboko upośledzona, że prawie żadna pomoc nie jest możliwa. Dzieci całe życie leżą bez ruchu w łóżku, nie mówią, same nie jedzą. Ze względu na brak jakichkolwiek ćwiczeń fizycznych większość z nich cierpi na całkowity zanik mięśni.

Zazwyczaj na małych ciałach umocowana jest ogromna głowa oraz wystają ręce i nogi podobne do patyków. Za ich stan trudno kogoś winić: państwo jest biedne i skorumpowane, dlatego dyrektor domu jest w stanie zapewnić tylko podstawową opiekę: jedzenie i mycie. Czegoż można wymagać od kobiety, która musi opiekować się 25 sparaliżowanymi dziećmi i otrzymuje za to pensję równą 50-100 bochenkom chleba? Człowiek wobec takiego cierpienia jest całkowicie bezradny – wszystko, co można zrobić, dla tych dzieci, to je pogłaskać. Wszelkie próby wytłumaczenia sobie cierpienia tych dzieci są czystym bezsensu. Nie każdy jest też w stanie odwiedzać takie miejsca. Człowiek o zbyt dużej wrażliwości nie ma tam czego szukać – takie odwiedziny mogą go tylko wpędzić w depresję. Ale właśnie przez to doświadczenie można się przybliżyć do tajemnicy wcielenia i cierpienia Boga w Jezusie. Jednocześnie odwiedzanie tych dzieci przynosi człowiekowi duży pokój i radość. Szczególnie zdumiewa pogoda ducha niektórych z nich.

W domu starców, w pewnym sensie można zrobić więcej, a mianowicie: porozmawiać i pomodlić się. Jednocześnie przynębiające jest pijaństwo wielu z tych ludzi, agresja, zgorzknienie i świadomość tego, że wielu z nich, swoim wcześniejszym życiem „zapracowała” na taką smutną i samotną starość. Jak rozmawiać z tymi ludźmi pozbawionym nadziei, a często także zachowującym się w sposób niestosowny dla ludzi w „złotym wieku”? Nie tak łatwo przyjąć tę prawdę, że człowiek cierpiący i opuszczony nie zawsze jest osobą na wyżynach życia duchowego. Bieda i nieszczęście fizyczne często połączone jest z duchowym upadkiem. W takiej sytuacji trzeba się uczyć, że Jezus ukrywa się nie tylko w pięknych twarzach: „byłem chory, a odwiedziliście Mnie...”.

Także w więzieniu niewielu ludzi przy-

pomina dobrego łotra. Silnym doświadczeniem jest odczucie, czym jest ludzki grzech. Jak niszczy on życie człowieka, jego zdrowie (większość więźniów to narkomani i alkoholicy). Można niemalże dotknąć tej prawdy, że człowiek może się stać niewolnikiem grzechu. Jeden staruszek w wieku 70 lat, którego odwiedzałem w domu starców, po pijanemu zadłgał nożem drugiego dziadka. Teraz spotykam się z nim w więzieniu. On tam też umrze, a w najlepszym wypadku, kiedy będzie już konał, więzienie wyśle go do szpitala. W losach tych ludzi widać jak szatan kusi człowieka, by potem zniewolić go i odebrać mu życie.

### Idźcie i nauczajcie wszystkie narody

Ewangelizacja jest pierwszym zadaniem Kościoła. Ale nie zawsze to, co głosi się w teorii, realizuje się praktycznie. Wydaje się, że Kościół katolicki jest czasami tak zajęty samym sobą, że nie starcza mu energii na głoszenie Dobrej Nowiny poganom. Postawa i zaangażowanie świętego Franciszka Ksawerego jest dla nas misjonarzy wielkim wyzwaniem. Problemem Kościoła nie tylko w Kirgizji, ale także w większej części byłego Związku Radzieckiego, jest wyznawanie przez nas misjonarzy cichej zasady, że jesteśmy posłani tylko do ludzi o tzw. „katolickich korzeniach”: Niemców, Polaków, Ukraińców itd. Ta zasada ma zgubne skutki dla życia Kościoła. Wiele energii traci się na ludzi, którzy niekoniecznie są zainteresowani Ewangelią. W tym samym czasie obok żyją Kirgizi czy Kazachowie, którzy mają takie samo prawo usłyszeć o Jezusie jak tzw. „urodzeni katolicy”.

Sytuację Kościoła w Kirgizji można bliżej opisać poprzez doświadczenie konfrontacji z islamem i Kościołami protestanckimi.

### Powrót do synagogi

Jan Paweł II napisał, że islam jest powrotem do synagogi. I choć muzułmanie



mogą się oburzać na takie sformułowanie, to kiedy żyje się w społeczeństwie składającym się w 99% z muzułmanów, jak to ma miejsce w Dżalalabadzie, siłą rzeczy trzeba się z tym zgodzić. Misjonarz powinien poznać język, kulturę i religię ludzi pośród których żyje. Teraz bardzo modne jest mówienie o dialogu i w związku



br. Damian Wojciechowski SJ

z tym postuluje się poznanie innych religii oraz szacunek dla nich. Nie powinno to jednak zwalniać z krytycznej oceny innych religii i nie wolno z tego powodu ukrywać, że tylko Jezus daje człowiekowi zbawienie. Czytając Koran i obserwując życie Uzbeków (są oni wiele bardziej przywiązani do islamu niż Kirgizi, a oba te narody stanowią po połowie mieszkańców Dżalalabadu) widać jak bardzo islam jest religią zapożyczoną z judaizmu. Więcej nawet, jest to judaizm niezwykle uproszczony i skupiający się na kilku prostych zasadach wziętych z prawa mojżeszowego i Tory. Głębia objawienia się Boga w Starym Testamencie jest zredukowana do pojęcia Boga absolutnie transcendentnego wobec naszego świata i naszych pojęć. Boga, o którym prawie nic pewnego nie można powiedzieć. Islam w swoim popularnym wydaniu jest także religią

strachu. Jak mi powiedziała jedna kirgiska chrześcijanka, gdy przed swoim nawróceniem czytała Koran, ta lektura wprawiła ją w przerażenie, ze względu na obecny na każdej stronie obraz Boga: bezwzględnego i karzącego sędziego. Islam jest także religią opartą na więziach społecznych. „Mahala” – to mała społeczność sąsiadów Uzbeków, żyjących na kilku sąsiednich ulicach, gdzie każdy przypatruje się drugiemu i kontroluje go, jak on zachowuje polecenia Allacha. Islam, choć sam uważa się za religię racjonalną, nie dopuszcza krytycznego podejścia do Koranu, jak my to robimy z Biblią. I ma to swoje uzasadnienie: nawet niedoświadczony czytelnik widzi, jak wiele Koran zapożyczył z Starego Testamentu, jak wiele tych zapożyczeń w absolutnie dowolny sposób zmienia treść Biblii napisanej przecież setki, tysiące lat przed narodzinami Mahometa. Chrześcijanie zawsze twierdzili, że Biblia jest tak dziełem Boga, jak i człowieka. Koran według muzułmanów jest napisany dosłownie pod dyktando Boga, choć nawet bez większego wykształcenia w tej dziedzinie, na pierwszy rzut oka można się przekonać, że jest to księga, na której człowiek odcisnął swój ślad nie mniej niż na Biblii. Taka konfrontacja z islamem może być dla chrześcijanina cennym pogłębieniem swojej wiary, a także potwierdzeniem wyjątkowego charakteru Orędzia Ewangelii.

Islam jest jednocześnie bardzo nam bliski, ponieważ praktycznie większość jego zasad wiary i moralności jest tożsama z tymi, które poznawaliśmy na lekcjach religii. Wiele rzeczy w islamie jest godnych szacunku i naśladowania: podkreślenie wartości rodziny, otwarte przyznawanie się do swojej wiary, prostota przekazu prawd wiary i wiele innych. Ciekawe jest też np. to, że w tej religii, gdzie kobiety nie mają wstępu do meczetu – meczety są pełne... mężczyzn. Być może jest to humorystyczna rada dla sfeminizowanego

Kościół katolickiego i wzór dla wielu naszych księży, którzy w pracy duszpasterskiej nieświadomie przystosowują się wyłącznie do duchowych i emocjonalnych potrzeb kobiet.

### Abyście byli jedno

Od upadku komunizmu niezwykle dynamicznie rozwijają się w Kirgizji Kościoły protestanckie. Największy Kościół charyzmatyczny liczył 15 lat temu 3 osoby, obecnie około 30 tys., w tym duża część to Kirgizi, Uzbegy i inni ludzie o „muzułmańskich korzeniach”. Spotkanie z protestantami daje katolickiemu misjonarzowi wiele do myślenia. Zaczniemy od tego, czego od protestantów można się nauczyć.

Zetknięcie z miejscowymi chrześcijanami, którzy wyrosli w muzułmańskich rodzinach, jest dla mnie niezwykle doświadczeniem poznania zbawczej mocy Jezusa, który wyzwala człowieka ze strachu, więzów grzechu i obdarowuje człowieka realną miłością Boga. Wielu z tych chrześcijan zapłaciło za swoje nawrócenie wyklęciem przez rodziny, pobiciem czy nawet groźbą śmierci ze strony najbliższych. Od tych ludzi można wiele czerpać dla umocnienia swojej wiary.

Protestanci na pierwszym miejscu stawiają ewangelizację. Głoszenie Słowa Bożego jest sercem tych Kościołów. Człowiek już kilka tygodni po nawróceniu zaczyna dawać świadectwo swojej wierze. W porównaniu z tym miejscowy Kościół katolicki skupiony jest na obrzędach, liturgii i pobożności, które bez ewangelizacji i katechizacji są często przyjmowane przez wielu miejscowych katolików jak zabobon. Praca naszych księży w wielu miejscach byłego Związku Radzieckiego ogranicza się tylko do odprawiania mszy świętej. To prawda, że msza święta jest szczytem życia Kościoła, i protestanci są bardzo biedni bez tego sakramentu, ale jeśli życie Kościoła ogranicza się tylko do Eucha-

rystii, to ten szczyt jest dosyć niski i płaski. Niekiedy msza zastępuje ewangelizację, albo nawet jest traktowana jako przygotowaniem do katechizacji. Efekty są często przygnębiające – wierni po wielu latach uczestniczenia w mszy świętej nie rozumieją i nie przeżywają istoty tego sakramentu. W konfrontacji z muzułmanami i protestantami nawet przy najprostszych pytaniach dotyczących wiary są bezradni. Protestanci są w swojej duchowości niezwykle aktywni, nawet aktywistyczni. Odwrótnie wielu katolickich misjonarzy jest wyznawcami „pasywnej teologii”: odprawić mszę, powiedzieć kazanie na temat jak najmniej związany z życiem parafian, a całą resztę roboty zrobi za nas w tajemniczy sposób Pan Bóg. Nie wystarczy się jednak modlić, trzeba jeszcze głosić odważnie i otwarcie Ewangelię. Jakie mogą być tego przyczyny? Bezradność księży i sióstr wobec konfrontacji Ewangelii z życiem prostych ludzi, a także niezajomość najprostszych metod i schematów ewangelizacji. Nasi misjonarze po prostu często nie wiedzą jak przedstawić podstawy chrześcijańskiej wiary. Problemem jest także zatrzymanie się na drodze wiary i strach przed porzuceniem swoich nawyków i przyzwyczajzeń. Szczególnie grozi to nam Polakom. Nie chcemy przyjąć tej prawdy, że polski model religijności i życia parafii nijak się ma do miejscowych warunków. Polska pobożność może być nawet często przeszkodą w ewangelizacji. Brakuje nam popatrzenia z dystansem na naszą wiarę i zwyczaje. Brakuje odwagi, by jak Abraham wyruszyć w nieznaną. W rezultacie nasze parafie to często wyłącznie starsze kobiety, które oczywiście mają prawo przeżywać swoją wiarę na swój sposób, ale to nie może stać się przyczyną powstania Kościoła babć. W rezultacie Kościół katolicki jest, w odróżnieniu od protestantów, zamknięty dla miejscowej ludności. Takie zachowanie Kościoła katolickiego wprowadza w osłupienie znajomych protestantów, którzy czasami wprost

pytają się nas: Po co żeście tutaj przyjechali? Problemem jest także hierarchia prawd i brak przystosowania do miejscowej kultury i duchowego doświadczenia Kirgizów lub Kazachów. Tacy ludzie nie mogą sobie znaleźć miejsca w naszym Kościele, bo wszystko jest dla nich obce i niezrozumiałe. Nie można też od nich żądać, żeby przyjęli chrześcijaństwo w tej formie, w jakiej ją praktykują członkinie polskich Kół Różańcowych. Nie można też od razu obciążać ich wszystkimi prawdami wiary równocześnie: najpierw trzeba ich wprowadzić w tajemnicę śmierci i zmartwychwstania Jezusa, w praktykę modlitwy, czytania Biblii i zarazem stopniowo wprowadzać w życie liturgiczne Kościoła. Polskim misjonarzom bardzo trudno jest zrozumieć, jak ciężko jest Kirgizowi pojąć wiele naszych zwyczajów, szczególnie, że wiele z nich nie jest w ogóle obowiązkowych dla wszystkich katolików. Sam po sobie widzę, ile trudu i odwagi kosztuje oderwanie się od mentalności polskiego katolika i określenie, co naprawdę jest istotne w przekazie wiary. Następny problem to katolicki klerykalizm. U protestantów nie ma księży i dlatego wszyscy od razu po nawróceniu są włączeni w odpowiedzialność za Kościół i ewangelizację. U katolików wszystko zaczyna się i kończy na księżach. Księży robią absolutnie wszystko, a świeccy są biernymi widzami ich działalności. W rezultacie budzi się u parafian postawa roszczeniowa: co nam się od Kościoła należy za to, że chodzimy w niedzielę na Mszę...? Gdyby nagle kler zniknął, być może następnego dnia przestałby też istnieć Kościół... Wydaje się, że przygotowanie teologiczne protestanckich misjonarzy jest niezwykle praktyczne, konkretne i związane z ich osobistym życiem wiary. Zaś nasze seminaria obciążają kleryków wielką ilością wiedzy, którą oni potem nijak nie mogą połączyć ze swoją pracą duszpasterską.

Dla mnie samego równocześnie konfrontacja z protestantami jest bardzo silnym umocnieniem mojej katolickiej tożsamości. Dzięki reformom Soboru Watykańskiego II wszystko co można znaleźć w Kościołach protestanckich, istnieje także w Kościele katolickim – ruch charyzmatyczny, różne formy ewangelizacji, znajomość Pisma Świętego. Szczególnie podkreśliłbym to ostatnie. Często mam wrażenie, że Kościół katolicki zostawił w zrozumieniu Biblii protestantów daleko z tyłu. Szczególnie, gdy jakiś młody baptysta próbuje mnie przekonać, że dinozauiry wymarły kilkaset lat temu i przywołuje na to mądre cytaty z Biblii. I trudno z nim polemizować, jeśli w jego Kościele, wiara i rozum są sobie zupełnie obce. Oprócz tego niezwykle cenne jest bogactwo różnych duchowości i dróg podążania za Jezusem, z których mogą czerpać katolicy. W przypadku większości Kościołów protestanckich w danej wspólnotcie wszyscy muszą iść po tej samej wąskiej ścieżce, którą idzie pastor. Doktrynalną czystość nauki Kościoła można docenić właśnie w zetknięciu z protestantami, gdzie w każdym momencie każdy pastor, może zacząć głosić dowolną teorię. Przytoczę kilka przykładów z Kirgizji: Manas - mityczny bohater narodowy Kirgizów okazuje się nagle być prorokiem i jednym z największych nauczycieli Kościoła; dusze potępionych zamieniają się w diabłów i błądzą wśród nas żywych; Bóg ma 4 osoby, a nie trzy; Jezus w chrzcie Janowym narodził się na nowo, a jego ukochanym uczniem był... Judasz Iskariota. I takich przykładów można by podawać bez końca. Te większe i mniejsze herezje są przyczyną wielkiego zamieszania w głowach nowo nawróconych kirgiskich owieczek. Jak ważne jest istnienie wywodzącej się od apostołów katolickiej hierarchii, można zrozumieć obserwując nieustanne podziały i kłótnie wśród protestantów. Najmniejsze animozje wśród pastorów czy też różnice poglądów na





Wszelkie próby wytłumaczenia sobie cierpienia tych dzieci są czystym bezsenssem. Nie każdy jest też w stanie odwiedzać takie miejsca. Człowiek o zbyt dużej wrażliwości nie ma tam czego szukać...

interpretację Biblii są od razu przyczyną podziału i powstania nowego kościoła lub nawet sekty. W Dżalalabadzie, gdzie jest zaledwie kilkuset chrześcijan, istnieje 11 różnych Kościołów. To co w Kościele katolickim jest uprawnionym pluralizmem w duchowości, teologii lub interpretacji Biblii – u wielu protestantów kończy się podziałem Kościoła. I znowu cierpią z tego powodu proste owieczki. Bogactwo liturgii, sakramentów, życia duchowego i zakonnego – to rzeczy, o których protestanci mogą tylko pomarzyć. Wiele protestanckich Kościołów jest przygotowanych tylko na prowadzenie człowieka w pierwszym okresie po nawróceniu, a potem następuje pustka i wielu chrześcijan z tego powodu odchodzi od Boga. Niestety nasze bogactwo jest często potencjalnym, schowanym głęboko w sejfie lub w ogromnym magazynie. Za to protestanci, ze swoim niewielkim „asortymentem towarów”, są mistrzami „marketingu”. Myślę, że katolicka liturgia może być bardzo pomocna w ewangelizacji miejscowych narodów, ale musi być dla nich zrozumiana, znaki liturgiczne muszą być jasne i wyraźne i liturgia musi być żywą modlitwą kapłana i wspólnoty, a nie tylko monotonnym recytowaniem formułek. Powtarzanie tych samych zdań bez minimalnej adaptacji do danej sytuacji

wspólnoty, prowadzi do tego, że ludzie przyjmują liturgię w najlepszym wypadku jak niezrozumiały teatr, a w gorszym jak działania magiczne.

Życie misjonarza to ciągły wysiłek poszukiwań, odkrywania na nowo oblicza Boga, próbowanie przekazania swojego doświadczenia wiary ludziom, którzy nigdy nie słyszeli o Jezusie. To ciągły wysiłek poznawania obcego języka, kultury, tradycji. Ale równocześnie radość z tego, gdy się widzi jak Ewangelia „działa” w sercu ludzi tak innych od nas. Nasze próby w Dżalalabadzie są być może bardzo nieśmiałe: turnieje futbolowe dla chłopców (w ostatnim już trzecim z kolei, wzięło udział 11 zespołów – wyłącznie Kirgizi i Uzbekcy) i dziewcząt (pierwszy raz w historii Dżalalabadu!), klub dla dzieci, z różnymi grammi i pokazywaniem filmów czy też klub filmowy dla studentów. Okazuje się, że pokazywanie klasyki światowego kina i dyskusje po filmie dają wspaniałą możliwość rozmowy o życiu, miłości, wierze, Bogu, rodzinie, moralności. Równie ważne są przyjacielskie spotkania z Kirgizami, Uzbekami. To są nasze próby wyjścia do miejscowych ludzi i mamy nadzieję, że z czasem taka preewangelizacja przemieni się w ewangelizację. ■

# W trosce o uchodźców

Elizabeth Underhill - Rzecznik Prasowy JRS Europe

Tłumaczenie sch. Krzysztof Augustyniak SJ

Jezuicka Służba Uchodźcom (Jesuit Refugee Service – JRS) jest międzynarodową organizacją katolicką, której misją jest towarzyszenie, służba i obrona praw uchodźców i ludzi siłą wypędzonych z ich miejsc zamieszkania. 14 listopada 1980 roku o. Pedro Arrupe, ogłaszając utworzenie JRS, powiedział: „oczekiwana od nas pomoc nie jest tylko pomocą materialną; w sposób szczególny Towarzystwo [Jezusowe] jest wezwane do służby na płaszczyźnie zwyczajnych potrzeb ludzkich, zwłaszcza edukacyjnej i duchowej”. JRS podejmuje swoje działania na poziomie narodowym i regionalnym przy wsparciu biura międzynarodowego mieszczącego się w Rzymie.

JRS realizuje swe przedsięwzięcia w ponad 50 krajach, troszcząc się o przebywających w obozach dla uchodźców, o siłą wypędzonych, starających się o azyl i imigrantów oczekujących na decyzje sądowe w aresztach i obozach.

Blisko 1000 pracowników – w większości na zasadzie wolontariatu – poświęca się pracy w JRS. Jest wśród nich 75 jezuitów: kapłanów, braci i scholastyków. Liczba ta jednak nie obejmuje dużej grupy samych uchodźców, którzy angażują się w programy JRS.

Ksenofobia i niechęć wobec uchodźców w Europie w ostatnich latach wzrasta. Chociaż liczba starających się o azyl polityczny w krajach Unii Europejskiej wydaje się zmniejszać, jest to jednak raczej wzdłuż trudnych do pokonania przeszkód prawnych niż spadku nasilenia przymusowych migracji.

Bariery na granicach są zastrzeżone i coraz częściej zdarzają się kontrole także wewnątrz państw. Organizacje kościelne dążące do harmonii, integracji i wzajemnego zrozumienia muszą dokładać coraz silniejszych starań, aby ich głos był słyszalny. JRS posiada osoby kontaktowe i przedstawicielstwa w ponad 20 państwach Europy. Pracują one bezpośrednio z przymusowo przesiedlonymi, oferując pomoc na polu edukacji, opieki duchowej, socjalnej i zdrowotnej.

Szczególnym przykładem projektu europejskiego jest pomoc na polu prawnym dla poszukujących azylu w Niemczech czy program mający na celu pojednanie wspólnot lokalnych poprzez audycje radiowe dla uchodźców chorwackich w Słowenii. JRS w Rumunii oferuje wsparcie na płaszczyźnie edukacyjnej, proponując kursy języka rumuńskiego i angielskiego, prowadzone przez wolontariuszy, oraz profesjonalne kursy komputerowe. W 2006 roku uczestniczyło w nich około 250 osób.

Europejskie biuro JRS znajduje się w Brukseli i jest instytucją koordynującą pracę biur narodowych. Liczba pracowników europejskiego JRS wynosi w sumie 116. Największe zespoły działają we Włoszech, Portugalii, Rumunii i brukselskim biurze regionalnym. Liczbie tej towarzyszy nieoceniona pomoc wielu wolontariuszy.

Obok koordynacji JRS pełni rolę swego rodzaju adwokata. Unia Europejska rozwija wspólną politykę migracyjną i azylową. JRS towarzyszy temu rozwojowi poprzez różnorodne analizy i komentarze. Uczestniczy



w nim na wszystkich poziomach procesu legislacyjnego, kładąc szczególny nacisk na godność osoby. Działalność JRS w strukturach europejskich jest wspierana instytucjonalnie, ma także odzwierciedlenie we współpracy z brukselskimi organizacjami o podobnych celach.

Jednym z ostatnich wydarzeń we wspomnianym obszarze było spotkanie w Parlamencie Europejskim, 2 maja 2007 roku, zorganizowane przy współdziałaniu kilku organizacji. Przewodniczyła mu Niemka europoseł z Partii Zielonych – Hiltrud Breyer. Uczestnikami byli wpływowi europarlamentarzyści, jak Słowaczka – Anna Zaborska, stali przedstawiciele przy Unii Europejskiej, ambasadorowie i naukowcy. Program koncentrował się na zjawisku migracji poprzez prezentację wyników międzynarodowych analiz i badań.

Administracyjne tworzenie przypominających więzienia centrów dla imigrantów jest głównym obiektem zainteresowania JRS w Europie. Często imigranci zamykani są tak, jakby byli więźniami, niejednokrotnie w warunkach gorszych niż te panujące w więzieniach kryminalnych. Strona internetowa europejskiego JRS – [\[tion-in-Europe.org\]\(http://tion-in-Europe.org\) – jest jedyną tego typu w Europie i jest często odwiedzana jako wartościowe źródło informacji.](http://www.deten-</a></p>
</div>
<div data-bbox=)

JRS jest także aktywne na polu badań i analiz. W niedługim czasie zostaną opublikowane wyniki badań dotyczących przymusowych imigrantów żyjących w nędzy. Liczba osób, zmuszonych do opuszczenia miejsc swego zamieszkania, które nie otrzymały statusu uchodźcy i żyjących w skrajnej nędzy, w ostatnich latach wzrosła znacząco. Często żyjąc na ulicy, bez praw publicznych, pozostają oni w sytuacji społecznego wykluczenia. Dostrzegając ów ogólnoeuropejski problem, JRS podjęło jego analizę między innymi w Wielkiej Brytanii, Włoszech, Słowenii i Rumunii.

Ostatnim polem zaangażowania europejskiego JRS jest działalność na rzecz opinii publicznej poprzez międzynarodowe kampanie, publikację biuletynów, czasopism i audycje w mediach.

Jeśli chciałbyś uzyskać więcej informacji na temat JRS w Europie, zapraszamy na naszą stronę: [www.jrseurope.org](http://www.jrseurope.org), bądź do kontaktu z przedstawicielem medialnym: [press.europe@jrs.net](mailto:press.europe@jrs.net) ■



# Styk wiary i kultury

o. Norbert Frejek SJ

Św. Ignacy Loyola zwykł budować domy zakonne i dzieła Towarzystwa Jezusowego w dwóch miejscach: w pobliżu katedr oraz na obrzeżach kultur. To pierwsze miejsce wiąże się ze współpracą z biskupem oraz lokalnym klerem – jest to wspieranie lokalnego Kościoła w pracy. To drugie wiąże się z pracą na obrzeżu kultur. Dla św. Ignacego było ważne to, aby być także obecnym tam, gdzie inni nie docierają. To przeświadczenie nie jest objawem pychy, lecz konkluzją, iż jezuici są powołani i przygotowani do tego, aby sprostać zadaniom najtrudniejszym. Styk wiary i kultury był aktualny nie tylko w czasach Ignacego. Także dzisiaj jest to miejsce pełne wyzwań.

W całym świecie istnieje wiele jezuickich dzieł działających na styku wiary i kultury. Do grupy tej aspiruje Dom Spotkań im. Angelusa Silesiusa we Wrocławiu. Dom powstał w 1993 roku. Inspiracją były podobne domy – pierwszy w Niemczech w Ludwigshafen: centrum społeczne Heinrich-Pesch-Haus oraz Southwellhouse w Londynie (nazwany tak na cześć jednego z jezuickich męczenników Roberta Southwella, 1561-1595), będący typowym domem spotkań dla młodzieży. W tym samym roku udało się nadać Domowi Spotkań osobowość prawną i od-tąd funkcjonuje jako „jednostka organizacyjna Kościoła katolickiego”, działając w oparciu o Rozporządzenie Prezesa RM z dn. 17.09.1993.

Początki istnienia Domu były... polsko-niemieckie. Tym bardziej sprawa ta

była wówczas aktualna, bo Niemcy stały się jednym państwem oraz runął jeden z upiornych symboli tamtej epoki, jakim był niewątpliwie Mur Berliński. Bli-skość Wrocławia od granicy niemieckiej z pewnością sprzyja przyjazdowi młodych Niemców do Polski. Co warto podkreślić, trudno w tych spotkaniach było (i jest) dopatrzeć się tęsknoty Niemców za dawnym Heimatem... Z czasem działalność Domu poszerzyła się o współpracę z krajami byłego Związku Radzieckiego, z Europą Zachodnią i Południową oraz z Bliskim Wschodem. Młodzież przyjeżdża na spotkania międzykulturowe, międzyreligijne, ekumeniczne, aby rozmawiać o sprawach dla siebie ważnych: o pokoju, sprawiedliwości, prawach człowieka, o szacunku, roli religii i kultury. Do ważnych spotkań należą programy izraelsko-arabsko-środkowoeuropejskie. Wtedy można się przekonać m. in. o różnej wrażliwości na Holocaust, na wojnę czy sprawiedliwość społeczną. Dialog młodych ludzi rozpoczyna się po przedstawieniu różnic, jakie ich dzielą. Te programy często idą wręcz w poprzek poprawności politycznej.

Ważną częścią działalności Domu Spotkań są programy realizowane z krajami zza naszej wschodniej granicy. Od kilku lat organizujemy „Study Tours to Poland” - wizytę studyjną dla studentów z Ukrainy, Białorusi oraz Obwodu Kaliningradzkiego. W ramach tego programu pragniemy pokazać Polskę (i Wrocław) jako przykład przemian społecznych, politycznych oraz kulturowych po 1989 roku. Co jest tutaj ważne: dzielimy się naszym doświadcze-

niem, nie narzucamy jednak polskich rozwiązań. Pokazujemy nasze sukcesy, ale także porażki.

Dom Spotkań jest także instytucją wolontariacką – wysyła oraz przyjmuje wolontariuszy. Od dobrych kilku lat wysyłamy i przyjmujemy łącznie około 50 osób. Dla młodych Polek i Polaków oraz dla obco-krajowców przybywających do naszego kraju jest to szansa na doświadczenie nowej kultury, języka, mentalności, poznanie



nowych ludzi oraz nieznanymi obszarów.

Nie można także zapomnieć o wrocławskiej „działce” Domu Spotkań. W ramach projektu „Silesius dla szkół” Dom prowadzi jednodniowe warsztaty z wychowania obywatelskiego dla uczniów wrocławskich szkół ponadpodstawowych. Porusza się na nich takie tematy, jak m.in.: wolność, demokracja, UE, rola policji w społeczeństwie, sprawiedliwość, uchodźcy. Jednym z przewodnich tematów, jaki się pojawia na „Silesiusie dla szkół” jest „Pelikan – o sztuce bycia dla innych”. Pelikan to nierzadki temat przedstawiany na tabernakulum...

To tylko kilka migawek z przeszłej i współczesnej działalności Domu Spo-

tknięć. Wychodzi z tego chyba całkiem niezła laurka. Pytanie: Po co to wszystko? Można spróbować odpowiedzieć tak: Dom Spotkań próbuje działać w obszarze międzykulturowym. Wychodzimy z założenia, że niezmiernie ważna jest ewangelizacja „wprost”, czyli duszpasterstwo: msza święta, sprawowanie sakramentów i posług, rekolekcje, misje. Ale oprócz tej powieścić można – ewangelizacja „nie wprost”. Ale czy można mówić o Panu Jezusie „nie wprost”? W Kościele wyróżnia się głoszenie Słowa, liturgię oraz „posługę ludzką”. Papież Benedykt XVI w encyklice *Deus*

W całym świecie istnieje wiele jezuickich dzieł działających na styku wiary i kultury. Do grupy tej aspiruje Dom Spotkań im. Angelusa Silesiusa we Wrocławiu. Inspiracją były podobne domy w Niemczech i w Anglii.

*caritas est* uściślił tę rzecz tak: „Wewnętrzna natura Kościoła wyraża się w troistym zadaniu: głoszenie Słowa Bożego (kerygma-martyria), sprawowanie Sakramentów (leiturgia), posługa miłości (diaconia). Są to zadania ściśle ze sobą związane i nie mogą być od siebie oddzielone. Caritas nie jest dla Kościoła rodzajem opieki społecznej, którą można by powierzyć komu innemu, ale należy do jego natury, jest niezbywalnym wyrazem jego istoty” (nr 25). To, co pragnie robić Dom Spotkań, to posługa *caritas* na pograniczu kultur, narodów i religii. Nasz patron, siedemnastowieczny śląski poeta Anioł Ślązak, może być dobrą inspiracją: polsko-niemieckie korzenie, poeta, mistyk, w końcu ksiądz działający w miejscu, gdzie przenikało się kilka kultur. ■

# Telewizyjny areopag

o. Andrzej Majewski SJ

Misja, to słowo bogate w znaczenia, a przez to niejednoznaczne. Zgodnie ze słownikową definicją oznacza ona ważne zadanie do spełnienia, posłannictwo. Ważny jest ten, który posyła, bo od niego zależy charakter misji. Mówimy więc, że Kościół ma misję do spełnienia, bo został posłany przez Chrystusa, by głosić Ewangelię. A zatem misją Kościoła jest ewangelizacja, głoszenie Dobrej Nowiny o Jezusie. Media publiczne także mają

znacza drogi życia. Ci ostatni często nie są zainteresowani przekazem treści religijnych; bywa, że co najwyżej tolerują obecność Kościoła w strukturach życia publicznego.

Redakcja Programów Katolickich istnieje więc i działa w ciągłym napięciu, na pograniczu tych dwóch misji. Z jednej strony chce dawać swój rzeczywisty wkład w propagowanie specyficznego spojrzenia na świat, właściwego Ewangelii, z drugiej



O. Andrzej Majewski przeprowadza pierwszy wywiad telewizyjny z papieżem Benedyktem XVI

swoją misję. Nie jest nią ewangelizacja, lecz ogólnie rzecz ujmując promowanie wspólnego dobra, szerzenie wiedzy i krzewienie postaw proobywatelskich. Media publiczne też mają swojego mocodawcę, który zleca im swoją misję i rozlicza z jej realizacji. Tym mocodawcą jest społeczeństwo, społeczeństwo wolne i pluralistyczne. Tworzą je ludzie wierzący, ale i wątpiący, kierujący się zasadami Ewangelii, ale i ci, dla których Ewangelia nie wy-

zdaje sobie sprawę, że nie działa w próżni, że widownię telewizji publicznej stanowi wielorako zróżnicowane społeczeństwo. Programy Redakcji Katolickiej telewizji publicznej nie mogą więc być identyczne z programami telewizji „katolickiej”, docierającej zasadniczo do ludzi wierzących, czy już choćby zainteresowanych tematyką religijną. Naszym punktem odniesienia jest bardziej św. Paweł działający wśród pogan, niż św. Piotr zatroskany o istnieją-



ce już wspólnoty Kościoła. Ktoś może jednak słusznie zapytać: „Jak to, czy nie żyjemy w społeczeństwie katolickim, głęboko związanym z Kościołem, o wielowiekowej tradycji katolickiej? Czy nie wszyscy rozumieją „gramatykę” wiary, język Kościoła? Nie żyjemy przecież w zateizowanych Czechach czy podkreślającej swą neutralność światopoglądową Francji!”. Optymizm tego typu poglądów studził już Jan Paweł II nawołując do nowej ewangelizacji całej, niegdyś chrześcijańskiej Europy. Polska nie jest tu wyjątkiem.

Redakcja Programów Katolickich w Telewizji Polskiej powstała w 1989 roku, gdy tylko stało się jasne, że gruntowne zmiany w Polsce są nieodwracalne. Początki nie były łatwe. Wszystko trzeba było tworzyć od podstaw.

Pierwszym jezuitą, a prawdopodobnie i pierwszym księdzem, który pojawił się w polskiej telewizji jeszcze w latach 80-tych był nasz zakonny współbrat, ojciec Andrzej Koprowski. Kilka lat później stanął on na czele tworzącej się Redakcji Programów Katolickiej Telewizji Polskiej. Pytanie, jakie stawiała sobie pierwsza ekipa nowo powstającej redakcji brzmiało: Jak realizować misję Kościoła w mającej swą własną misję telewizji publicznej? Szukając odpowiedzi nawiązano kontakty z istniejącymi już w wielu krajach Zachodniej Europy redakcjami katolickimi tamtejszych telewizji publicznych. Kontakty te wyznaczyły standardy przy realizacji pierwszych, własnych produkcji. Wtedy to stworzono zręb programów, z których kilka (jak choćby program dla dzieci „Ziarno”) przetrwało do dziś. W kolejnych latach istnienia Redakcji powierzano coraz to bardziej odpowiedzialne zadania. Wielką jej zasługą jest współtworzenie medialnego przekazu papieskich pielgrzymek do Polski. Redakcja wniosła też swój istotny wkład w to, co niektórzy nazywają „kwietniowymi rekolekcjami narodowymi”, a więc w przeżywanie dni „odchodzenia Jana Pawła II do domu Ojca”.

Nasza codzienna praca to jednak nie tylko współpraca przy tworzeniu wielkich, medialnych wydarzeń. To przede wszystkim codzienna realizacja cyklicznych, cotygodniowych programów, tworzonych przez kilkudziesięcioosobowy zespół młodych, zdolnych dziennikarzy, operatorów kamer, dźwięku, świata, dziennikarzy, kierowników produkcji etc. Dla osób starszych, chorych, samotnych, tych, którzy nie mają możliwości uczestniczyć w niedzielnej mszy świętej w swoich kościołach, co niedzielę transmitujemy, mszę świętą z Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Krakowie-Łagiewnikach. O bieżących sprawach Kościoła w Polsce i na świecie rozmawiamy w niedzielnym programie „Między ziemią a niebem”. Z dziećmi bawimy się w programie „Ziarno”, a poprzez zabawę uczymy jak przekładać wiarę na codzienne życie. Młodym, w programie „Raj”, pokazujemy ich rówieśników, którzy w twórczy sposób przeżywają swoją wiarę, realizując to, co Jan Paweł II nazywał „wyobraźnią miłosierdzia”. Rodziny, które dzięki wierze pokonały najtrudniejsze problemy pokazujemy w programie „My-wy-oni”, a różne, nowe zjawiska występujące w Kościele – w programie „Znaki czasu”. W programie „Słowo na niedzielę” staramy się osadzić treść niedzielnej Ewangelii w codziennym życiu.

Od kilku lat Redakcja Programów Katolickich Telewizji Polskiej nie jest już samotną wyspą w morzu różnorodnych ofert programowych dotyczących spraw wiary. Powstały stacje telewizyjne o inspiracji katolickiej (Puls i Trwam), wkrótce ma powstać kanał religijny, tworzony obecnie przez ITI Group. A jednak tak jak Telewizja Publiczna pełni i nadal pełnić będzie specyficzną misję w stosunku do całego społeczeństwa, tak też Redakcja Programów Katolickich TVP pozostanie istotnym punktem odniesienia dla innych, nowo powstających telewizyjnych nadawców katolickich, już choćby ze względu na swą blisko 20 - letnią historię. ■

# O nauczaniu filozofii uwag kilka

o. Józef Bremer SJ



o. dr hab. Józef Bremer SJ  
Dziekan WSFP Ignatianum w Krakowie

Za jedno z pierwszych zadań kształcenia filozoficznego uważam uwrażliwienie studentów na konieczność odróżniania jednej rzeczy od drugiej, jednego pojęcia od drugiego, jednego argumentu od drugiego. Odróżnianie uczy dialogu, zadawania pytań o kryteria, precyzyjnego myślenia, odkrywania wieloznaczności słów. Odróżnianie zakłada, przynajmniej wstępne, zaznajomienie się z rozważanym zagadnieniem, prowadzi do jego jaśniejszego przedstawienia, a wtedy łatwiej znaleźć wyjście z sytuacji niepewności lub konfliktu.

Żyjemy w szybko zmieniającym się społeczeństwie. Media zalewają nas różnorakimi sensacjami i światopoglądami. Kwestie dotyczące podstawowych pytań związanych z naszym życiem są sporne i trudne do rozwiązania; np. zagadnienia ochrony życia czy technologii genetycznych rodzą pytania o naszą ludzką godność i tożsamość. Postępujące na skutek rozwoju przemysłu zmiany klimatyczne konfrontują nas z pytaniami o naszą formę życia. Znajomość filozofii pomaga młodym ludziom w znalezieniu orientacji w tej wielości splecionych ze sobą spraw, w ukształtowaniu własnego stanowiska. Potrzeba do tego czterech umiejętności: dostrzeżenia problemu, przemyślanej krytyki dotychczasowych rozwiązań, cierpliwego i często grupowego analizowania zagadnienia oraz mówienia o nim jasnym językiem. Rozwój tych umiejętności wymaga naturalnej zdolności do „dziwienia się” różnorodnością i niejasnością otaczającego świata. Tego rodzaju „dziwienie się” jest źródłem wszelkiej filozofii – tej rozumianej tak potocznie, jak i akademicko. Wybija nas ono z rutyny, z przyzwyczajenia, pozwala z innej perspektywy spojrzeć na ten sam świat, na tego samego człowieka. Dziwienie się znajduje swoje wyraz w zadawaniu pytań, w odróżnianiu i rozeznawaniu problemów. Akademickie uprawianie filozofii nie może przytłumić tego pierwotnego zdziwienia, z którym przychodzą do nas młodzi ludzie.

Studia filozoficzne to spotkanie z wielkimi myślicielami tradycji greckochrześcijańskiej. Studiując, staramy się zrozumieć, co wybitni filozofowie mieli i mają do powiedzenia w takich dziedzinach filozofii jak antropologia, teoria poznania, etyka, metafizyka, nauki przyrodnicze i matematyczne. Nasze dzisiejsze spojrzenie na świat jest w przeważającej mierze upraszczane przez redukcje do ograniczonych – choć skutecznych – metod i rozwiązań typowych dla nauk przyrodniczych oraz technicznych, w których brak odniesienia do osoby i wartości, do Boga. Zgłębianie historii filozofii przeciwdziała takiemu zawężeniu myślenia i rozszerza duchowy horyzont. Wielcy filozofowie uczą nas szerokiego spojrzenia na świat i na nas samych. Ich pisma są dowodem na to, że uwypuklają fakt, że istnieją niezbywalne, rozumowo nierozstrzygalne pytania ostateczne, należące do naszego „bycia człowiekiem”.

Ludwig Wittgenstein (1889-1951), jeden z najbardziej wpływowych filozofów minionego wieku, pisze: „Czujemy, że gdyby nawet rozwiązano wszelkie możliwe zagadnienia naukowe, to nasze problemy życiowe nie zostałyby jeszcze nawet tknięte”. Stwierdzenie to jest bardzo ważne, bowiem drugim zadaniem kształcenia filozoficznego jest ukierunkowanie, podprowadzanie studentów ku granicom nauki, ku granicom naszego ludzkiego poznania, ku granicom naszych ludzkich pojęć. Filozofia pokazuje nam, że nasz rozum nie jest wszystkim, że do naszej formy życia należy także wiara. Wiara i rozum nie przeczą sobie. Rozum potrzebuje wiary jako koniecznego uzupełnienia. Myślenie prowadzi nas ku pytaniom: Kim jestem? Skąd pochodzę? Dokąd zmierzam? Jaki jest sens cierpienia? Co to znaczy „być sobą”? Na te pytania wiara może dać innego typu odpowiedź. Ale wiara także szuka swego potwierdzenia ze strony rozumu. Nie cho-

dzi przy tym o rozum czy rozumowanie zawarte w jakiejś konkretnej – historycznej czy współczesnej – myśli filozoficznej, lecz raczej o podstawowy trzon i zasadniczy grunt dla odkrycia sensownej prawdy naszego istnienia, poznania świata, etycznego działania. Tak rozumiany grunt poprzedza barwną paletę różnych ujęć filozoficznych oraz tworzy kryterium oceny proponowanych przez nie odpowiedzi na nurtujące nas pytania. Wiara ochrania rozum, gdyż także ona dotyczy człowieka „zdziwionego”, człowieka otwartego na dialog, człowieka, który pyta, docieka, odróżnia, jasno argumentuje. Filozofia, jak ją rozumiem, odsuwa tym samym pozorne stwierdzenie, że jedynie współczesna nauka może jednoznacznie odpowiedzieć na wspomniane wyżej pytania oraz że może wyeliminować wiarę.

Wykładając filozofię, chcę pomóc studentom i studentom, aby we współczesnym świecie mogli i wierzyć, i rozumnie myśleć, by umieli pytać o prawdę i związaną z nią wolność; powtarzam: we współczesnym świecie. Nie możemy zamykać oczu przed dzisiejszą duchową sytuacją naszego otoczenia i uciekać w miniony, „święty” świat myślenia tradycji greckochrześcijańskiej czy jakiejś innej. Nasze dzisiejsze problemy nie dadzą się rozwiązać przez mechaniczne powtarzanie form rozwiązań znanych jedynie w historii filozofii. Dlatego tak ważne jest konfrontowanie się z pracami filozofów współczesnych. Musimy pytać, jak – wychodząc od tych prac – można dojść do wiary.

Imponująca tradycja filozofii zachodniej będzie tylko wtedy żywa, gdy jej wielkie pytania zostaną na nowo przemyślane od strony tych problemów, które są dla nas ważne właśnie w dzisiejszym świecie – z jego nastawieniem na wyjaśnianie naukowe i z jego sceptycyzmem wobec wiary. ■



# Pomoc w zaangażowaniu społecznym

o. Janusz Śliwa SJ

Ojciec Alfred Delp, niemiecki jezuita, stracony w 1945 roku w Berlinie za udział w antyhitlerowskiej opozycji, napisał: „Żaden człowiek nie będzie wierzył w Przesłanie Zbawienia i Zbawiciela dopóty, dopóki nie będziemy krwawo tyrać w służbie człowieka dotkniętego fizycznie, psychicznie, społecznie, gospodarczo, moralnie czy chorego w jakikolwiek inny sposób”. O. Delp w profetyczny sposób wyraził to, co w 1974 roku XXXII Kongregacja Generalna naszego zakonu – najwyższe ciało ustawodawcze – sformułowała jako zadanie dla wszystkich jezuitów: „Naszą misją dzisiaj jest szerzenie wiary i zawartej w niej sprawiedliwości”. Był to niewątpliwie przełomowy moment w posoborowej historii Towarzystwa Jezusowego. Z niego rozwinął się szeroko pojęty apostołat społeczny. Nasza prowincja podjęła tę nową misję wyznaczoną przez Kongregację. Powstało wiele dzieł o charakterze społecznym, które bezpośrednio zajmują się pomocą ubogim, jak np. Ośrodek w Żmiącej dla dzieci z domów dziecka. Inne dzieła, które można nazwać centrami społecznymi (jak Centrum Kształcenia i Dialogu „Theotokos” w Gliwicach) poświęcone są kształceniu ludzi, którzy mogą wiele zdziałać na polu społecznym. Sprawami społecznymi bowiem można zajmować się w dwojaki sposób.

Jeśli przykładowo przejdziemy się przez dworzec PKP, spotkamy tam wielu bezdomnych. Czasem zastanawiamy się, dlaczego prowadzą takie życie. Odpowiedzi może być kilka. Niektórzy znaleźli się

w tym miejscu z powodów losowych np. stracili mieszkanie, innym nie chce się pracować, a jeszcze innych aktualna sytuacja społeczno-gospodarcza zepchnęła na margines i chociażby chcieli, zmienić tego bez pomocy innych ludzi nie mogą. W odruchu miłosierdzia można im doraźnie coś dać, ale można też pomyśleć o bardziej zorganizowanej pomocy, która pomoże im wyjść z kryzysu i zmienić swoje życie.

Według tej drugiej koncepcji funkcjonuje Centrum „Theotokos”, które szkoli ludzi chętnych pracować na rzecz głębszych zmian społecznych. Naszą misją jest: „inspirować ludzi do wychodzenia poza horyzont własnych spraw”, a tematyką naszych projektów są sprawy społeczne oraz edukacja obywatelska i europejska. Formą naszej działalności są kursy, seminaria i szkolenia, w których chcemy zainspirować i przygotować uczestniczących w nich ludzi do podjęcia społecznej odpowiedzialności i inicjatywy. Wyjść poza horyzont własnych spraw to angażować się we własnym środowisku, lokalnej wspólnoty lub w społeczeństwie dla dobra innych, szczególnie biednych. Nasze szkolenia – przeważnie tygodniowe – są tak skonstruowane, ażeby uczestnicy nauczyli się lepiej analizować otaczający ich świat, potrafiliby krytycznie ocenić sytuację oraz podjąć decyzję o zaangażowaniu się. Ogólnie chodzi o to, aby człowiek, który do nas przyjeżdża, po szkoleniu czy seminarium wyjeżdżał choć trochę zmieniony – nastawiony bardziej proaktywnie i prospołecznie oraz aby wiedział, jak się do społecznej sprawy

zabrać. W ten sposób chcemy włączyć się w „szerzenie sprawiedliwości”.

Centrum „Theotokos” było od samego początku, czyli od 1997 roku, zorientowane na Wschód, na takie kraje jak Ukraina, Białoruś, Mołdowa, bo tam potrzeby są naprawdę wielkie. I chociaż przeprowadziliśmy wiele programów dla polskich uczestników, to jednak naszą domeną pozostają programy dla grup zza wschodniej granicy. A żeby dać większe wyobrażenie o tym, jak wygląda działalność Centrum „Theotokos”, przedstawimy dwa typowe projekty zrealizowane w ostatnim czasie: pierwszy dla Białorusi pt. „Akademia Liderów Społecznych” i drugi dla Ukrainy pt. „Czego może nauczyć się przemysłowy Donbas od polskiego Śląska w dziedzinie rozwiązywania problemów społecznych”. Oba projekty składały się z trzech części: dwóch tygodniowych programów w Centrum „Theotokos” i jednego wyjazdowego, u partnera na Białorusi lub Ukrainie.

Przeprowadzając „Akademię” postawiliśmy sobie pytanie: czego potrzebuje społeczny lider? Z pewnością powinien posiadać pewne umiejętności przywódcze, jakąś wizję tego, co chce robić, a także umiejętności organizowania i motywowania ludzi, czyli budowania zespołu, z którym będzie pracował. Jeśli już to posiadzie, to nieodzowna jest sztuka tworzenia i kierowania projektami socjalnymi, które będą odpowiadać na konkretne potrzeby społeczne. To wszystko właśnie uczyniliśmy tematem naszych szkoleń dla białoruskich liderów społecznych z Mohylewa, wśród których byli m.in. ludzie z organizacji prowadzących pomoc dla biednych, świetlic dla niepełnosprawnych, przedszkola dla głuchoniemych czy domu spokojnej starości. Obok prowadzonych szkoleń, uczestnicy odwiedzili wzorcowe instytucje w Polsce, aby zobaczyć, jak to się robi u nas, i po zaadaptowaniu zastosować w białoruskich warunkach.

Nasz „ukraiński” projekt dotyczył Ukra-

iny Wschodniej, ogromnego regionu donieckiego, gdzie poprzez swoje filie działa nasz ukraiński partner. To przemysłowe terytorium, podobne do naszego Śląska, przeżywa dziś kryzys z powodu zamykania kopalń, a z działalności kopalń żyją tam całe górnicze osiedla. Gdy zamykana jest kopalnia, całe osiedla popadają w tarapaty, stają się jednym wielkim problemem, na który składają się bezrobocie, alkoholizm, narkomania, AIDS (jedna z uczestniczek powiedziała, że na jej półtoratysięcznym osiedlu, jest 300 nosicieli wirusa HIV). Głównym problemem jest bierność ludzi, oczekujących że ktoś za nich te problemy rozwiąże. Naszym zadaniem w tym projekcie była zmiana mentalności tych ludzi, którzy powinni stać się inicjatorami przemian na tamtym terenie. Ale jak tu sprawić, żeby uczestnicy zrozumieli, że muszą bierność przezwyciężyć, że możliwe jest samorganizowanie się na poziomie bloku, osiedla lub gminy i rozwiązywanie społecznych problemów własnymi rękami, w dodatku bez większych pieniędzy i czekania na pomoc państwa? Uczestnicy zobaczyli kilka polskich modelowych rozwiązań z dziedziny społecznej i przeszli intensywne szkolenie, które sprawiło, że wyjechali z Gliwic z pomysłami działań i gotowymi projektami, które zrealizują na Ukrainie pod okiem naszego ukraińskiego partnera.

„Dlaczego jezuici zajmują się tym?” – pytają raz po raz uczestnicy programów. Dla Ukraińców jest to tym bardziej zastawiające, bo wielu z nich, po okresie ateistycznego komunizmu, poszukuje wiary (szczególnie ci ze wschodniej Ukrainy). Wielu na nowo ją odkrywa. Jeden z uczestników jako swój projekt zorganizował wspólnie z klasztorem bazylianów „centrum duchowości prawosławnej” w swoim mieście. Ludzie wiedzą, że kieruje nimi wiara i to daje im do myślenia. Dla nas staje się jasne, że szerzenie sprawiedliwości jest warunkiem wiarygodności wszelkich naszych prac apostołskich. ■

# Ocalić człowieka

sch. Jacek Olczyk SJ



**M**oja przygoda z duchowością ignacjańską rozpoczęła się przed siedmiu laty. Przez te lata wiele już razy dochodziłem do tego, że Ćwiczenia Duchowe, choć mają tak niewielką objętość, są bardzo „nasycone” treścią i to treścią przemieniającą życie tylu już pokoleń chrześcijan. Jeszcze bardziej zastanawiające jest to, że wśród „nasyconej” treści znajdują się słowa-klucze, pewne symbole duchowości ignacjańskiej, które zazwyczaj bardzo naznaczają każdego, kto zdecydował się na odprawienie Ćwiczeń. Jednym z takich słów-kluczy jest tzw. zasada praesupponendum (z łac. przestroga), która brzmi:

*Żeby zarówno ten, kto udziela ćwiczeń, jak ten, kto je odprawia, mogli sobie wzajemnie pomóc i osiągnąć korzyści, trzeba założyć, że każdy dobry chrześcijanin powinien chętniej ocalić zdanie bliźniego niż je potępić. A jeżeli nie może go uratować, to pyta, jak on je rozumie, a jeżeli rozumie źle, poprawia go z miłością. Jeżeli to nie wystarczy, poszukuje wszelkich środków stosownych, żeby tamten dobrze je zrozumiał i ocalił samego siebie.*

Każdy dobry chrześcijanin powinien chętniej ocalić zdanie bliźniego niż je potępić.

A jeżeli nie może go uratować, to pyta, jak on je rozumie, a jeżeli rozumie źle poprawia go z miłością.

Warto zaznaczyć, że ta zasada jest owocem osobistego doświadczenia autora Ćwiczeń. Otóż, św. Ignacy po nabraniu pierwszych duchowych doświadczeń zaczął się nimi dzielić publicznie. Nie miał on jednak za sobą żadnego studium teologicznego, ani święceń kapłańskich, które pozwalałyby na nauczanie. Czasy w których żył nasz święty nie były sprzyjające dla takich wolnych głosicieli Dobrej Nowiny (zresztą także i dzisiaj raczej podejrzliwie patrzymy na ludzi, którzy nie wiadomo skąd pojawiają się obok nas i oferują pomoc w zbliżeniu się do Boga). W oczywisty sposób św. Ignacy stał się przedmiotem zainteresowania inkwizycji i nie jedną noc spędził w aresztach inkwizytorów. Doświadczył więc przykrości bycia oskarżonym. Pouczony tym doświadczeniem, zamieścił ową przestrogę niemal na samym początku Ćwiczeń, tak, aby uchronić zarówno udzielających, jak i odprawiających Ćwiczenia przed błędem niezrozumienia drugiego człowieka.

O przestrodze św. Ojca Ignacego można rozmyślać w różny sposób. Najbardziej oczywistym kontekstem, który narzucają same Ćwiczenia Duchowe, jest stosowanie zasady praesupponendum w rozmowie



duchowej, czy też w kierownictwie duchowym, a patrząc nieco szerzej, w rozmowie i spotkaniu z drugim człowiekiem w ogóle. Autor Ćwiczeń, w charakterystyczny dla siebie, bardzo precyzyjny sposób, wskazuje, że uczeń Jezusa, to człowiek, który „na wejściu” stara się dostrzegać wartość w wypowiedzi drugiego, w samym drugim. Każdy dobry chrześcijanin powinien chętniej ocalić zdanie bliźniego niż je potępić. Idąc dalej ja myślą Ignacego, dostrzegamy jego dobrą znajomość zasad komunikacji między ludźmi. Ignacy doskonale zdaje sobie sprawę z możliwości niezawinionego wzajemnego niezrozumienia pomiędzy uczestnikami dialogu, dlatego radzi: A jeżeli nie może go uratować, to pyta, jak on je rozumie (...). „Nie rozumiem, czy mógłbyś mi to wyjaśnić?” – takie lub podobne słowa słyszałem niezliczoną ilość razy z ust jezuitów oraz ludzi kroczących drogą Ćwiczeń. Z zasady praesupponendum wyrasta głęboko zakorzeniona postawa słuchania drugiego człowieka, rzeczywiste pragnienie dobrego zrozumienia tego, co drugi chce powiedzieć oraz pozytywna obawa przed tym, żeby nie ocenić jego słów zbyt pochopnie. Z takiej postawy przebija jakiś wielki szacunek do rozmówcy i pokora uznająca fakt, że każdy człowiek (czyli ja także) może popełnić błąd i warto dać szansę zarówno temu drugiemu, żeby rozjaśnił to, co powiedział, jak i sobie, żebyśmy lepiej pojął to, czego nie udało mi się dobrać uchwycić za pierwszym razem.

Przed nami jeszcze najtrudniejsza, i chyba najciekawsza część przestrogi. „(...) a jeżeli rozumie źle, poprawia go z miłością. Jeżeli to nie wystarczy, poszukuje wszelkich środków stosownych, żeby tamten dobrze je zrozumiał i ocalił samego siebie”. Pierwszym krokiem jest wysłuchanie człowieka, wejście w trud głębszego zrozumienia drugiego. Autor Ćwiczeń mówi teraz o zaangażowaniu na rzecz tego drugiego. I to o nie byle jakim zaangażo-

waniu, lecz o zaangażowaniu w duchu magis. Po pierwsze, gdy drugi człowiek rozumie coś źle (pamiętamy, że kontekst wskazuje, że chodzi tu o złe rozumienie spraw wiary i to na tyle złe, że stanowi jakąś poważną trudność), wtedy od Ojca Ignacego otrzymujemy przestrożę, żeby nie pozostać wobec tego faktu obojętnym i podjąć próbę poprawienia. I tu pojawia się ignacjańskie magis, ponieważ nie chodzi tylko o wykazanie komuś błędu, ale o zrobienie tego z miłością. Poprawianie

---

**Z zasady praesupponendum wyrasta głęboko zakorzeniona postawa słuchania drugiego człowieka, rzeczywiste pragnienie dobrego zrozumienia tego, co drugi chce powiedzieć.**

---

zaś kogoś z miłością jest bardzo trudnym przedsięwzięciem, wymagającym głębokiego zaangażowania w trosce o drugiego. Ale to jeszcze nie koniec, bo nasz święty mówi też o poszukiwaniu wszelkich stosownych środków, które mogą pomóc owemu drugiemu człowiekowi w dobrym zrozumieniu jakiejś prawdy. Te słowa są więc rzeczywistą przestrożą, żeby nie zatrzymać się w połowie drogi, ale wychodzić do człowieka (lub za człowiekiem) i bronić w nim samym Bożych wartości. We współczesnym świecie powszechnego dialogu i pluralizmu poglądów, te ostatnie zdania zasady praesupponendum, mogą wydawać się jakąś tyranią. Możemy jednak spojrzeć na nie, jako na wezwanie do bardzo świadomego odkrywania i przeżywania własnej chrześcijańskiej tożsamości, tak by niczego z niej nie utracić w imię dialogu. Pamiętając zaś, że całe nasze zaangażowanie w to, by drugi człowiek dobrze coś ze spraw wiary zrozumiał, ma dokonywać się z miłością, uchronimy się przed nawracaniem na siłę. ■

W Polsce od 1872 r.

# Postanienie

<http://poslaniec.net>

**Społeczeństwo**

**Modlitwa**

**Kościół**

**Polska**

**Świat**

# Postany do ludzi



Dostępny w Twojej parafii, księgarniach  
katolickich i salonach EMPiK

Prenumerata: ul. Kopernika 26, 31-501 Kraków tel. 012 6293 291

# Walka duchowa

O spotkaniu z egzorcystą i o byciu chrześcijaninem

sch. Daniel Michalski SJ

## Świszczące pociski

Być chrześcijaninem, to znaczy walczyć. Autentyczne przeżywanie powołania ku świętości związane jest nierozdzielnie z prowadzeniem pod sztandarem Krzyża ciągłych duchowych bitew z osobowym złem. Św. Paweł naucza: „Przyobleczcie pełną zbroję Bożą (...) Nie tocymy bowiem walki przeciw krwi i ciału, lecz przeciw Zwierzchnościom, przeciw Władzom, przeciw rządcom świata tych ciemności, przeciw duchowym pierwiastkom zła na wyżynach niebieskich” (Ef 6, 11 n.). Współczesna nam święta, s. Faustyna Kowalska, pisze w swym *Dzienniczku*: „Zaczynam dzień walką i kończę walką, zaledwie się uprzątę z jedną trudnością, to na jej miejsce powstaje dziesięć do zwalczenia, ale nie martwię się tym, bo wiem dobrze, że to jest czas walki (...)” (DZ 606).

Niekiedy nie zdajemy sobie sprawy z tej nieustannej duchowej wojny. Czasem odrzucamy ją jako średniowieczny zabobon. Innym razem, będąc jej świadomi, staramy się o owej zobowiązującej rzeczywistości po prostu zapomnieć. Ale w żadnym z tych przypadków nie oznacza to, iż automatycznie przestaje ona nas dotyczyć i że jej skutki nie mogą nas osiągnąć. Wciąż pozostaje ona jak najbardziej realna. Nadal nasz przeciwnik, „diabeł, jak lew ryczący krąży, szukając, kogo pożreć” (1P 5, 8), a nad naszymi głowami świszczą „rozżarzone pociski Złego” (Ef 6, 16). Dokonuje się to również dzisiaj, w XXI wieku. *Hic et nunc* (łac. tu i teraz).

## Szkolenie wojskowe

Żołnierz Jezusa, św. o. Ignacy Loyola poucza w *Ćwiczeniach duchowych*, że „Trzeba się (...) przyzwyczaić nie tylko do tego, żeby stawić opór przeciwnikowi, ale nadto

żeby go powalić na ziemię” (CD 13). Aby nasze (czyt. młodych jezuitów) zmagania duchowe były przeżywane coraz bardziej świadomie i efektywnie, postanowiliśmy – w ramach cyklu organizowanych na scholastykacie spotkań – zaprosić do krakowskiego kolegium egzorcystę – benedyktyna z Tyńca, o. Antoniego Wróblewskiego. Ponieważ zaproszenie zostało przyjęte, stanęliśmy przed niecodzienną szansą zaczerpnięcia z doświadczenia Chrystusowego wojownika z „pierwszej linii frontu”.

W czasie prelekcji o. Antoni wspominał, że zawsze starał się wzrastać w chrześcijańskiej doskonałości, przeżywać coraz pełniej swoje człowieczeństwo i zakonne powołanie oraz przechodzić z tego co dobre do lepszego. Jednak dopiero podjęcie posługi egzorcysty otworzyło mu oczy na fakt, że na tej drodze ku górze uwzględnić trzeba jeszcze „drugą stronę medalu” – zło. Otóż nie wystarcza skupianie się na wzrastaniu w pokorze, lecz trzeba równocześnie wypleniać z serca pychę; obok pomnażania męstwa, radości, pokoju czy czystości należy podejmować też walkę z własnym lękiem, przygnębieniem, rozdającym się zamętem i pokusami zmysłowymi. Nasz gość zachęcał (zgodnie z nauką płynącą ze słów wpisanych w Krzyż św. Benedykta) do rozbudzania w sobie świadomości obu tych wymiarów duchowego bojowania – zarówno potrzeby kroczenia ku dobru (*Crux sancta sit mihi lux* – łac. Krzyż święty niech mi będzie światłem), jak i konieczności ciągłego odchodzenia od zła (*non draco sit mihi dux* – łac. smok niech nie będzie mi przewodnikiem).

Nawiązując do nauczania Ojców Pustyni, egzorcysta uczył nas na dostrzeganie



Św. Benedykt miał w swym życiu wielkie nabożeństwo do krzyża świętego jako znaku zbawczej miłości Jezusa Chrystusa. Często czynił znak krzyża. Z jego pomocą pokonywał własne ciężkie pokusy. W życiu św. Benedykta, Bóg mocą tego znaku w cudowny sposób niweczył złe zamiary i omamy szatańskie, jak opisuje to papież Grzegorz Wielki w II księdze Dialogów.



W XVII w. ustalili się ikonograficzny typ medalika, z wizerunkiem św. Benedykta na jednej stronie i krzyżem z literami na odwrocie.

obecności i działania osobowych, złych mocy w świecie. Duchowe zmagania nabierają zupełnie innej (pełniejszej, bardziej autentycznej) perspektywy, gdy uświadomimy sobie na przykład, że odczuwana przez człowieka pożądlivość to nie tylko jakaś siła natury czy energia psychiczna, ale działanie demona pożądlivości; ulegnięcie, dajmy na to, pokusie lenistwa to dopuszczenie do swego serca konkretnego demona tegoż grzechu.

Nasz prelegent, przypominając, iż w powołanie apostoła wpisana jest charyzmatyczna misja wypędzania upadłych aniołów (por. Mk 3, 15), wyjaśniał, że nie może być mowy o posługiwaniu władzą uwalniania wobec innych, jeśli w wymiarze walki osobistej nie potrafimy uporać się z własnymi pokusami, a nasze serca pozostają przy-czołkami wroga, osobowego zła.

Ojciec benedyktyn z wielkim wyważeniem wprowadzał nas w coraz to nowe arkana wojennej ścieżki, wskazując na towarzyszące jej zagrożenia. Mówił o skrawku nieba sprowadzanym na ziemię przez kapłana, który wyciąga ręce do błogosławieństwa czy do konsekracji darów w czasie Najświętszej Ofiary, ale zwracał również uwagę na cząstkę piekła, która wkracza w naszą rzeczywistość poprzez dłonie „cudownych” uzdrowicieli inicju-

jących swych pacjentów w duchowo toksycznym świecie.

Mieliśmy możliwość usłyszeć też o *maleficium* (łac. zły akt, występki) – mrocznej sztuce szkodzenia innym za pośrednictwem interwencji szatana (por. „Nota duszpasterska konferencji biskupów Toskanii na temat magii i demonologii” z 1994 roku). Rzucanie pełnych nienawiści klątw i uroków skutkować może realnymi, groźnymi konsekwencjami, szczególnie dla człowieka, który zamknął swoje serce na Bożą łaskę.

Wszelkie magiczne praktyki sprzeciwiające się pierwszemu przykazaniu stanowią – zarówno dla różnej maści szamanów (którym błędnie wydaje się, że są w stanie oswoić moce zła), jak i dla ich ofiar – poważne niebezpieczeństwo.

Dotykając tak trudnej materii, o. Wróblewski dodawał nam wiele otuchy przypominając za znanym włoskim egzorcystą, ks. Gabrielem Amorthem, iż w świętym boju nie jesteśmy pozostawieni sami sobie. Uspokajał, wskazując na całe bogactwo ekwipunku, w jaki wyposażeni zostajemy, trwając w Mistycznym Ciele Chrystusa: możliwość życia w łasce, potem (potężniejszy od jakiegokolwiek egzorcyzmu) sakrament pojednania, dalej Msza św., Komunia i Adoracja Najświęt-

szego Sakramentu. W razie potrzeby Kościół posiada również narzędzia w postaci modlitwy o uwolnienie, uzdrowienie i wreszcie rytuał egzorcyzmu (por. konferencje ks. Amortha wygłoszone w 2002 roku w Medziugorje „Kapłan w posłudze uzdrawiania i uwalniania”).

Poprzez czuwanie i coraz głębszą modlitwę osobistą, zawierzenie Niepokalanemu Sercu Maryi, umiłowanie Pisma Świętego, życie sakramentami czy wspólnotę wiary (np. wspólnoty ruchu Odnowy w Duchu Świętym) możemy wzrastać i wciąż pełniej jednoczyć się z miłością Bożą, do której nie ma dostępu żadne zło. W dłoniach Stwórcy nie musimy lękać się absolutnie niczego (por. Mt 10, 30 n.).

Opowiadając o swojej posłudze, o. Antoni bardzo mocno podkreślał jej wymiar służebny. Egzorcysta – wyjaśniał – to człowiek, który częściej niż inni napotyka na swej drodze ludzi głęboko poranionych. Istotne jest, by nigdy nie odrzucać potrzebującego. Nawet wtedy, gdy jego problemy okazują się natury czysto psychicznej. Zwyczajna rozmowa, wsłuchanie się w zbolące serce drugiego, pokrzepiające słowo potrafią zdziałać o wiele więcej niż można by przypuszczać (w atmosferze modlitwy i zrozumienia można chociażby efektywniej zasugerować wizytę u lekarza). O. Wróblewski przypominał też o uzdrawiającej mocy płynącej z sakramentu namaszczenia chorych..

Ważne, aby – bez względu na to, czy jesteśmy egzorcystami, „zwykłymi” kapłanami, zakonnikami czy osobami świeckimi – wypracowywać w sobie wrażliwość na potrzeby drugiego, współczucie wobec ludzkiej kruchości i cierpienia. Nie ma cenniejszego trofeum w duchowych bojach nad nabycie umiejętności pokornego, miłostnego bycia dla innych (por. J 15, 12 n.). Żywotną kwestią jest, byśmy potrafili stawać się – bogatymi w wyobraźnię miłosierdzia – apostołami dobra. Bowiem

właśnie dobrem – mającym swe źródło w Bogu – przewycięża się demoniczne zło (por. Rz 12, 21).

## Zwycięzcy

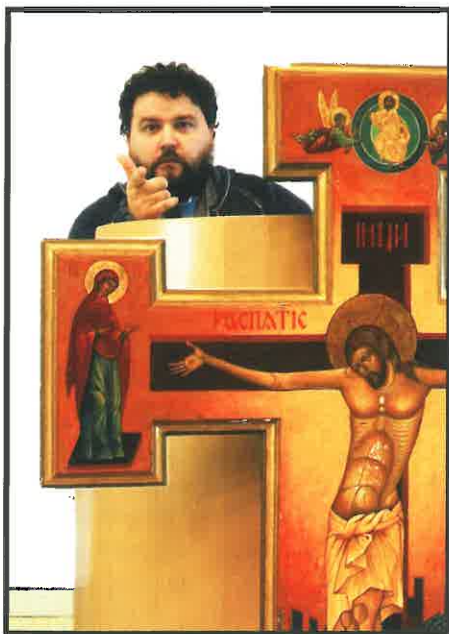
Chcąc tego czy nie, znajdujemy się w samym środku potężnej wojny. Stawką jest wieczność. Do wyboru mamy życie lub śmierć, szczęście bądź nieszczęście, miłość albo jej brak (por. Pwt 30, 15 nn.); *Tertium non datur* (łac. trzeciej drogi nie ma). Tylko od nas zależy, czy będziemy potrafili ową rzeczywistość w sposób dojrzały przyjąć i opowiedzieć się po właściwej stronie konfliktu. Możemy, stając w świetle Bożej prawdy o tym świecie, zaciągnąć się pod sztandar Chrystusowego Krzyża, decydując się – mimo własnej słabości – na nieustanny, bitewny trud przeciw choraągwiom Lucyfera (por. CD 137).

A alternatywy? Niektórzy, w swej wolnej woli, wybierają paktowanie ze złem, boleśnie raniąc siebie i drugich. Ci, w najlepszym wypadku, kończą jako penitenci u księdza egzorcysty. Inni, bądź to wciąż jeszcze pogrążeni są w duchowym letargu, bądź – jeśli już nawet doświadczyli częściowego przebudzenia – robią wszystko, by pozostać neutralnymi. Tylko czy nieświadomość prawdy lub uporczywe zamykanie na nią oczu, stanowi jakąkolwiek ochronę na polu zacieklej walki?

Faktem jest, że codziennie stajemy w obliczu trudu duchowych zmaganiań, wobec śmiertelnego wroga natury ludzkiej (CD 136), szatana. Ale, jak zapewnia św. Paweł, we wszystkim tym odnosimy pełne zwycięstwo dzięki Temu, który nas umiłował. I (...) ani śmierć, ani życie, ani aniołowie, ani Zwierchności, ani rzeczy terazniejsze, ani przyszłe, ani Moce, ani co wysoko, ani co głęboko, ani jakiegokolwiek inne stworzenie nie zdoła nas odłączyć od miłości Boga, która jest w Chrystusie Jezusie, Panu naszym (Rz 8, 37 nn.). A zatem – odwagi! (por. J 16, 33), na barykady! ■

# Rekolekcje na Ignatianum

sch. Krzysztof Augustyniak SJ



Rekolekcjonista o. Fabian Błaszkwicz SJ

Pisać o rekolekcjach na *Ignatianum* jest mi niezręcznie. Z jednej strony dlatego, że od trzech lat prowadzę zakontraktowaną wpisem na listę studentów współpracę z tą instytucją, z drugiej strony, ponieważ byłem jedną z osób odpowiedzialnych za organizację tychże.

Jak do nich doszło? Otóż dzięki różnym zbiegom okoliczności okazało się w pewnym momencie, że kilku jezuitom studiującym na naszej uczelni chodzi po głowie myśl o konkretnej propozycji ewangelizacyjnej skierowanej do studentów *Ignatianum*. Pomysł wpisał się w tradycję prowadzenia przez małe grupy jezuitów-studentów rekolekcji wielkopostnych

w parafiach i w tym roku jedna z wspólnot wraz z pomocnikami uderzyła na jezuicką *alma mater*.

Wydało się oczywiste, że wychowanie człowieka to nie to samo (lub przynajmniej nie tylko) co nauczanie czy edukacja. Już przecież od pierwszej klasy systemu szkolnego dzieci uczestniczą w lekcjach wychowawczych, gdzie miła pani, tłumaczy, że Jasia należy szanować i afirmować, a nie przygniatać swoją asertywnością. Prowadzimy młodzież do psychologów i pedagogów, organizujemy pogadanki, i inne „przynudzanki”. W jakkolwiek mniej lub bardziej udany sposób pokazuje to, pomijając na razie teoretyczne założenia wychowania, że kształtowania człowieka nie wolno ograniczyć jedynie do przekazania mu wiedzy. Zwłaszcza, gdy jako jezuici mamy mu do przekazania coś więcej, znacznie więcej...

Cóż, traf chciał, a wierzę w to, że poza trafem i sam Pan Bóg, żeby jezuici zajęli się szkolnictwem. I dzięki Bogu się zajęli i to z całkiem niezłym skutkiem. I od samego początku dostrzegli również, że nie mogą być jedynie przekazicielami wiedzy. W swoim słynnym *Ratio Studiorum* napiszą, że: „Głównym celem naszych wysiłków edukacyjnych jest pociągnięcie młodych ludzi do poznania i umiłowania naszego Stwórcy i Odkupiciela”.

W tym roku jezuicka troska o zbawienie naszych studentów wyszła z podziemia. W dniach 4 – 7 marca po raz pierwszy od niemal siedemnastu lat istnienia uczelni w jej murach odbyły się rekolekcje. Dla-





czego rekolekcje w murach szkoły? Bo tę szkołę prowadzą jezuita a „głównym celem rektora [i zdaje się, że chyba wszystkich nas] winien być rozwój duchowy powierzonych mu młodych ludzi” – tu znów cytata z *Ratio Studiorum*.

Mam wrażenie, że chyba największym bogactwem naszej ignacjańskiej pedagogiki, notabene wykładanej pieczołowicie na *Ignatianum*, jest to swoiste odbicie Bożego spojrzenia na człowieka, bez ćwiartowania go na części, płaszczyzny, wymiary... I chociaż bliskość jagiellońskiego Collegium Medicum kusi nas, by tej operacji dokonywać, na szczęście coraz bardziej staramy się pozostawić człowieka w całości.

Nasze rekolekcyjne spotkania odbywały się w wielkiej auli – dwie godziny każdego dnia. (Na ten czas rektor i dziekani wydziałów zgodzili się zawiesić zajęcia). Całości przewodził o. Fabian Błaszkwicz z Nowego Sącza. Myślę, że jego bezpośredniość i ekspresja ściągnęła na rekolekcje wielu. Ale zdecydowanie nie była to tylko bezpośredniość i ekspresja. Kryło się za nią zdecydowanie więcej... *Uwolnić serce* – taki był temat wielkopostnych spotkań. Czego naprawdę pragnie moje serce? Co przeszkadza mi żyć w pełni? Czemu nie mogę złapać wiatru w żagle? Każdego dnia uczestnicy rekolekcji wychodzili

z uczelnianej auli pozostawieni z wieloma pytaniami. Wiele osób przynosiło je na modlitwę przed Najświętszy Sakrament do zaimprovizowanego w jednej z sal oratorium. Kilka osób zdecydowało się także na indywidualną spowiedź czy rozmowę. Na ten czas pokój dyrektora administracyjnego uczelni stał się miejscem darowywania długów, a nie ich ściągania...

Wieczorami spotykaliśmy się na wspólnej Eucharystii w naszej bazylice, gdzie mieliśmy okazję do kontynuacji rekolekcyjnych rozważań. Był też czas na nieformalne spotkania w duszpasterstwie akademickim WAJ i długie wieczorne śpiewanie.

Niewątpliwie wart odnotowania jest fakt, że po zakończeniu rekolekcji ukonstytuowała się grupa ok. dwudziestu studentów i studentek *Ignatianum*, którzy podjęli formację w ramach cotygodniowych spotkań w WAJ-u. Treści do modlitwy i refleksji będzie dostarczać im w najbliższych miesiącach książka *Obudzić serce* o. Pawła Kosińskiego.

Na koniec można zwyczajnie zadać sobie pytanie, czy było warto? Przecież tuż przy szkole bazylika, adoracja, wielkopostne rekolekcje „dla ogółu wiernych”, całodzienna spowiedź... Na szczęście dla Pana Boga nigdy nie jesteśmy tylko ogółem. ■

# Христос Воскрес

sch. Krzysztof Faltus SJ

Co roku, w okresie świątecznym większość scholastyków opuszcza kolegium, udając się do pomocy do różnych naszych parafii w Polsce, a także na Ukrainie. W tym wzmożonym duszpastersko czasie, we wspólnocie krakowskiej pozostają głównie najmłodszy scholastyki. Czasami jednak zdarzają się wyjątki, które potwierdzają panujące reguły.

Minione Święta były dwudziestą drugą pamiętką Zmartwychwstania Pana, którą dane mi było obchodzić. Wielu z tych świętowań nie pamiętam, bądź to ze względu na wiek, bądź na powszedniość przeżywania ich w mojej rodzinnej parafii. Ostatnie Święta jednak zapadną mi na długo w pamięć i proszę Pana, abym nigdy o nich nie zapomniał.

Wszystko zapowiadało się zwyczajnie. Scholastyk na pierwszym roku filozofii zostaje we wspólnocie kolegium i pomaga w przygotowaniu liturgii Świętego Triduum Paschalnego. W Niedzielę Palmową kilkanaście godzin zmieniło moje plany przeżywania tegorocznych Świąt. Współbrat, który miał udać się do pomocy na Ukrainę zachorował i zwolniło się miejsce. Nasz koordynator do spraw ukraińskich także nie mógł wyjechać. Zostały zatem dwa wolne miejsca. Znał on moje pragnienia związane z wyjazdem na Wschód i zapytał mnie, czy nadal chcę jechać. Razem ze mną na Ukrainę miał udać się Michał Piotrowski, który także w sercu nosił takie pragnienie. Odpowiedziałem bez wahania. O godzinie 23.00, po powrocie z rekolekcji parafialnych w Gdyni, dowiedziałem się, iż

następnego dnia wyjeżdżam z Michałem do Lwowa, a później do Kicmania – placówki, gdzie mieliśmy służyć wiernym. Poczułem w sobie ducha misyjnego podniecanego zauroczeniem Ukrainą wyniesionym z nowicjatu. Czyż ta sytuacja nie jest podobna do okoliczności, w jakich św. Franciszek Ksawery wyruszał do Indii?

## Podróż

Wyruszyliśmy nocą pociągiem do Przemysła. Po ośmiu godzinach podróży dotarliśmy do Lwowa. Na dworcu czekał na nas o. Stanisław Smolczewski, proboszcz parafii w Kicmaniu. Udaliśmy się od razu do katedry łańcuckiej, aby odebrać pieczywo świąteczne dla wiernych. Stary Lwów przywitał nas wąskimi, brukowanymi uliczkami oraz starymi tramwajami. Zieleń budzących się do życia drzew zdobiła rynek i Prospekt Swobody, zwieńczony gmachem Teatru Lwowskiego i Opery. Popołudnie spędziliśmy na poznawaniu zakamarków miasta. Wieczorem przybyliśmy do wspólnoty naszych, którą tworzy superior Dawid - Kanadyjczyk, Paul, który pochodzi z Indii oraz trzech współbraci z Ukrainy: Wiktor, Andrij i Stanisław, którzy przeżywał tam czas swej próby katechetycznej. Następnego dnia wyruszyliśmy do Kicmania. Podróż trwała kilka godzin. Pokonaliśmy około 350 km, mijając po drodze Stanisławów, czyli Iwanofrankowsk. Na miejsce przybyliśmy wieczorem. Po szybkim rozpakowaniu udaliśmy się na Eucharystię do sióstr salwatorianek, które wspierają swą posługą o. Stanisława. Przy łamaniu chleba poznaliśmy także pierw-

szych parafian: Sergieja i Lenę, dwoje młodych ludzi, aktywnie udzielających się we wspólnocie parafialnej.

## Wspólnota

Wieczorem, po powrocie do domu, poznaliśmy plan, zakres oraz zasięg naszej misji. Liturgię pamiątki śmierci i zmartwychwstania Pana sprawowaliśmy w dwóch miejscach: kicmańskim Wieczerniku oraz w kaplicy w Zastawnej, miasteczku położonym nieopodal Kicmania. W Kicmaniu liturgia sprawowana była w języku ukraińskim, natomiast w Zastawnej po polsku. Nasza posługa skupiała się na przygotowaniu paramentów liturgicznych (kielichów itp.), komentarzy do liturgii, wprowadzaniu ministrantów w czynności liturgiczne. Poza liturgią pomagaliśmy w przygotowaniach do dekanalnego zjazdu księży, którego gospodarzem miał być o. Stanisław. Sporo czasu zajęło mi przystosowanie się do warunków panujących na Ukrainie. Musiałem przyzwyczaić się do spontaniczności tamtejszych ludzi, stać się bardziej elastycznym. Świetnie pomagały w tym kontakty z grupą młodych ludzi, obecnych aktywnie przy parafii. Dwoje z nich po raz pierwszy w Wielki Czwartek przyjęło do

swych serc Pana Jezusa. Było to dla mnie niezwykle doświadczenie, jakże bardzo kontrastujące z pierwszymi komuniami w Polsce, przywdzianych w białe stroje małych dzieci, licznie stojących przed ołtarzem, śpiewających wysokimi głosikami pieśni i recytujących wierszyki. Największym świadectwem był dla mnie pan Jurij, który po wielu latach poszukiwań przeżył swe nawrócenie i razem z młodymi przystąpił do Stołu Pańskiego po raz pierwszy. Po Eucharystii przeżyaliśmy wspólnie z Julką i Władimirem ich radość we wspólnocie młodych. Okazało się także, iż najpoważniejsza bariera w kontaktach międzynarodowych, jaką jest język nie przysparzała nam większych trudności. Po pierwszym spotkaniu Michał powziął postanowienie poznania i nauczania się języka ukraińskiego.

W Wielki Piątek pomagaliśmy siostrze ubierać grób Pański. S. Adrianna, wykorzystując cały swój talent artystyczny z dostępnych materiałów sporządzała dekoracje, które my łączyliśmy we wspólną całość. *Ja jestem Drogą, Prawdą i Życiem* – te słowa, wypowiedziane przez naszego Pana zdobiły grób przygotowany na pa-





miątkę Jego grobu, w którym został złożony po męce – po drodze, którą sam przebył i wyznaczył nam, aby osiągnąć życie w szczęśliwości i prawdzie.

Wielka Sobota upłynęła w klimacie przygotowań do obchodów pamiętki zwycięstwa Syna Bożego nad śmiercią. Tradycyjnie poczułem się do zabezpieczenia także strony materialnej Świąt – zakupienia żywności i poczynienia potrzebnych przygotowań. Jakie było moje zdziwienie, kiedy o. Stanisław na pytania o zakupy odpowiedział zwyczajnie i ze spokojem, abym to zostawił i nie martwił się tym teraz. Sprawa wyjaśniła się później, a wspólne prace z młodzieżą przy kościele i salkach pomogły mi o niej zapomnieć.

Nastał czas Świętej Nocy, nocy zwycięstwa nad śmiercią, grzechem i szatanem. Po raz pierwszy w życiu w uroczystościach Wigilii Paschalnej uczestniczyłem w nocy. To niesamowite wrażenie i odczucie, że rzeczywiście ta noc jest inna niż wszystkie, naznaczona triumfem życia nad śmiercią, prawdy nad fałszem, szczęśliwości nad potępieniem i smutkiem. Licznie zgromadzeni ludzie tłoczyli się na placu kościelnym ze świecami, przyjmując ogień Boży, rozświetlający nasze mroki. Wszyscy głęboko włączali się w bogatą liturgię. Po zakończeniu Eucharystii wszyscy zgromadzeni w kościele zaczęli składać sobie życzenia świąteczne. W wypełniającym świątynię gwarze radości dało się słyszeć z różnych stron pozdrowienie: Xpictoc Bockpec! Ludzie, których pierwszy raz w życiu widziałem, ściskali się wzajemnie i nas, życząc wszelkiego błogosławieństwa od Zmartwychwstałego Pana. Pomimo naszych różnic łączyło nas jedno – chrzest zanurzający nas w Pana Jezusa, czyniący z nas braci i siostry, budujący więzi w rodzinie, jaką stanowią wszyscy chrześcijanie. Cóż za kontrast w zestawieniu z króliczkami, baziami i „magią”,

z których niektórzy w Polsce czynią istotę świętowania Paschy Jezusa.

W poranek wielkanocny odprawiliśmy dwie Eucharystie: w Łużanach i w Kicmaniu. Jakież byłem zdziwiony, kiedy po skończeniu Eucharystii, nasza kuchnia wypełniała się stopniowo najróżniejszymi potrawami świątecznymi, którymi dzielili się z nami wierni. Przychodzi mi na myśl fragment z Dziejów Apostolskich opisujący życie gmin chrześcijańskich. Powrót do korzeni. Czyż to nie wspaniałe, iż po dwóch tysiącach lat dzieje się podobnie? Po południu świętowaliśmy wspólnie z młodzieżą przy ognisku, a wieczorem spotkaliśmy się u siostr w kaplicy urządzonej na zabudowanym balkonie podczas wspólnej modlitwy, dziękując za dar zbawienia i życia.

## Pożegnanie

Nadszedł czas powrotu do Krakowa. W poniedziałek wielkanocny po mszy świętej, spakowani udaliśmy się na ostatni posiłek w Kicmaniu do pana Oresta i jego żony. Odjeżdżaliśmy autobusem do Lwowa, a potem do Krakowa. Na przystanku w Kicmaniu zegnały nas siostry, pan Orest oraz młodzież. Nie obyło się bez łez i czułych słów zapewniających o wzajemnej pamięci. Staram się codziennie podtrzymywać w moim życiu te słowa, aby nie okazały się one nigdy rzuconymi na wiatr. Do Krakowa przybyliśmy następnego dnia rano.

To był niezwykle tydzień. Podczas tych Świąt spędzonych na Ukrainie w sposób szczególnie doświadczyłem i przeżyłem na nowo prawdy i treści, które gdzieś we mnie stopniowo pokrywały się warstwą kurzu przyzwyczajęń i powszedniości. Dziękuję Panu, że Jego wolą było, abym te Święta spędził w kicmańskiej wspólnotce parafialnej. Żywię ogromną nadzieję, aby powrócić kiedyś na Ukrainę i pracować w tamtejszym Kościele, choć zdaję sobie sprawę, że nie jest to łatwe zadanie. ■

# Współczesna łacina

sch. Paweł Beń SJ



Z opowiadań starszych jezuitów, my młodzi, znamy rekreacje spędzane na rozmowach w języku łacińskim. Wiemy o wykładach i całej edukacji z nim związanej. Jako bibliotekarz w starowiejskim nowicjacie, gdziekolwiek się nie obróciłem, znajdowałem *Ćwiczenia duchowe*, *Konstytucje* i inne książki w tym języku. Wraz z mniej lub bardziej opasłymi tomi odziedziczyliśmy cały dorobek filozoficzny i teologiczny. Język łaciński dziś, co prawda, nazywany martwym, onegdaj stanowił żywy nośnik. Właśnie nim posługiwali się filozofowie, teologowie, naukowcy. On był świadkiem biegu myśli.

Jestem przekonany, że starsze pokolenie Polaków pamięta jeszcze msze święte w rycie trydenckim sprawowane jedynie w języku łacińskim. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu w większości polskich szkół średnich ogólnokształcących obecna była gre-

ka i łacina. A w paru powieściach mamy utrwalone zmagania uczniów z problemami gramatycznymi ostatniego z tych przedmiotów. Wystarczy tu wspomnieć choćby *Ferdydurke* Witolda Gombrowicza, którą w ostatnim czasie Ministerstwo próbuje usunąć z kanonu lektur. Autor w krzywym zwierciadle opisuje wysiłki zarówno profesora, jak i uczniów. Czy „us” doskonali, czy nie? Gałkiewicz próbuje udowodnić nauczycielowi, że nie. Może przez to krzywe zwierciadło, w którym samemu można się przejrzeć, Gombrowicz stał się dla niektórych *persona non grata*.

A z drugiej strony, jeden z szanowanych profesorów mojej starszej znajomej zwykł mawiać, że ten, kto nie posiadał znajomości łaciny, jest jak nieheblowany żłób. Co ona nie omieszkała mi powtórzyć, kiedy jeszcze byłem w szkole średniej. Od tego czasu, przeszedłem cztery lata edukacji

lingwistycznej, która miała mi otworzyć, a przynajmniej uchylić, bramy księgozbiorów zawierających łacińskie teksty mówiące o Bogu, Kościele, teologii, filozofii, kulturze. Pewną znajomość języka zdobyłem, egzamin szczęśliwie zdałem, ale... czasami solidaryzowałem się, choćby nawet tylko troszeczkę, z Gałkiewiczem. Na szczęście ten złób można heblować, póki ma się wzrok.

Ktoś mógłby spytać, skąd ten przydługawy wstęp o łacinie w tekście o czymś innym. Już spieszę z usprawiedliwieniem. Kiedyś usłyszałem taką uwagę: „Język angielski to współczesna łacina”. To mnie skłoniło do zarysowania tematu w taki sposób, jak to uczyniłem. Wraz z biegiem czasu zmienia się świat. Obecnie posługujemy się obrazem globalnej wioski. Jedni go krytykują, inni afirmują. Nie chcę czynić tu żadnego wartościującego komentarza. Tak czy siak, ten obraz związany jest z ideą przekraczania różnych barier. Ludzie zaczynają coraz częściej migrować w poszukiwaniu pracy. Podstawowym narzędziem jakiego potrzebują jest język, który pozwoli im komunikować się z pracodawcą oraz sąsiadami. Wszystko, co dzieje się na skalę światową potrzebuje powszechnego nośnika. Nie jest to nowe odkrycie. Wraz z ekspansją Imperium Rzymskiego rozprzestrzenił się język łaciński i królował poprzez starożytność, aż po średniowiecze, a gdzieś niedługo nawet renesans. Z czasem stał się językiem specjalistycznym, a posługiwali się nim uczeni w swoich dyskursach oraz Kościół katolicki.

Dziś również potrzebujemy uczyć się łaciny, ale nie mniej ważne są języki nowożytne, a w szczególności angielski. Czasami można odnieść wrażenie, że coraz większa część ludzkości operuje właśnie tym językiem.

My, jezuici w trakcie formacji, uczymy się go, aby sprawnie komunikować się ze sobą, być obecnymi w międzynarodowych środowiskach oraz towarzyszyć Polakom za granicą. Często angielski przydaje się w ramach studiów lub organizacji międzynarodowych projektów duszpasterskich.

Szlifujemy go przede wszystkim na rocznym kursie w Krakowie. Naszymi nauczycielami są amerykańscy jezuici z dyrektorem kursu na czele. Za każdym razem jeden z polskich scholastyków jest wyznaczony do zajęcia się zapleczem. Kurs nie ogranicza się do zajęć lekcyjnych. Przebywamy ze sobą cały czas – modlimy się, rozmawiamy, zwiedzamy Kraków i okolice. Kurs nie służy jedynie polepszeniu znajomości języka, lecz również nawiązaniu relacji między jezuitami, którzy zbierają się na nim jako przyjaciele w Panu.



W tym roku przyleciało do nas z USA pięciu współbraci i student naszego uniwersytetu w Stanach (wymieniony jako ostatni): Chris Pinné (dyrektor kursu w 2005 roku oraz w obecnym), Brian Dunkel, Matthew Motyka, Jonathan Stott, Andrew Wawrzyn, Brian O'Connor. Większość uczestników kursu to scholastyki z krakowskiego kolegium. Poza tym przybyło trzech Chorwatów, dwóch Węgrów, jeden Litwin i jeden Słowak. Wszystkich studentów było 25.



Amerykanów witałem wraz z Chrisem Pinné na lotnisku w piątek, 29 czerwca, podczas gdy w Bazylice Najświętszego Serca Pana Jezusa czterech naszych diakonów przyjmowało święcenia kapłańskie z rąk biskupa Jana Szkodonia. Scholastycy zza granicy przybyli w niedzielę, 1 lipca. Rozpoczęliśmy



O. Chris Pinné SJ, dyrektor kursu w 2005 i 2007 roku.

wieczornym spotkaniem, aby zaraz naza jutrz przeprowadzić pisemny i ustny egzamin kwalifikujący do odpowiedniej grupy. Wszystko przebiegło sprawnie. Tym sposobem zajęcia ruszyły pełną parą od wtorku, 2 lipca. Zajęcia w grupach odbywały się przed południem od godziny 9.00 do 11.15, a popołudniami dwa razy w tygodniu każdy uczestnik miał godzinną konwersację ze swoim tutorem, który różnił się od nauczyciela z porannych zajęć. Od poniedziałku do piątku zbieraliśmy się na wspólnej mszy świętej o 11.45, która oczywiście była w języku angielskim. Czytania wykonywali uczestnicy kursu.

Pierwsza sobota, 7 lipca, stanowiła okazję do wypoczynku i zapoznania się z Starym

Miastem i dzielnicą Kazimierz w Krakowie. Jednak nie odłożyliśmy na bok języka angielskiego, ponieważ zwiedzanie odbywało się przy jego pomocy. Podobnie jak podczas wizyty w „Auschwitz-Birkenau. Niemieckim nazistowskim obozie koncentracyjnym i zagłady (1940-1945)” w trakcie kolejnej soboty, 14 lipca. W trzeci weekend wybraliśmy się do Kopalni Soli w Wieliczce, a czwartą spędziliśmy wędrując po szlakach Tatr.

Artykuł zacząłem od wspomnienia rekreacji, które jakiś czas temu odbywały się w języku łacińskim. W lipcu tego roku nasze rekreacje odbywały się w języku angielskim. Czuwał nad tym dyrektor kursu, Chris Pinné. Nadstawiał ucha, a gdy tylko usłyszał, jak ktoś rozmawia w rodzimym języku, z uśmiechem na twarzy kiwał palcem wskazującym i wypowiadał po polsku zdanie, które wszyscy zapamiętamy: „Nie mów po polsku”.

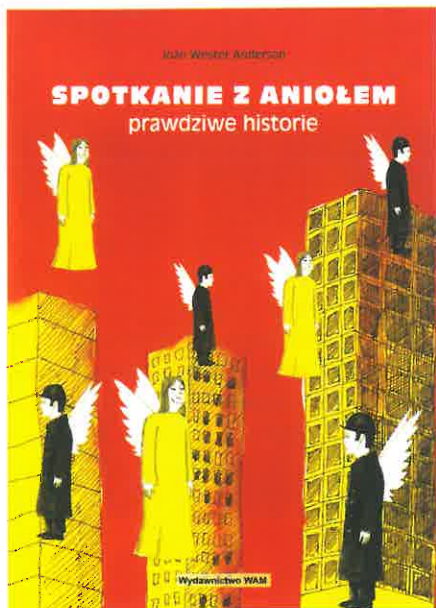
Kurs zakończyliśmy świętując wspomnienie św. Ignacego z Loyoli we wtorek, 31 lipca. Może paru scholastyków przypominało sobie wtedy przekazy historyczne o zmaganiach naszego Ojca Ignacego z łaćną. Po nawróceniu, już jako dorosły mężczyzna, siedział w jednej ławce z młodzieżą i w takim gronie przyswajał sobie koniugację i deklinację w Barcelonie. Był bardzo zdeterminowany, ponieważ chciał podjąć studia filozoficzne i teologiczne, aby być w pełni przygotowanym do pełnienia misji *ad maiorem Dei gloriam* (na większą chwałę Boga).

Podobna motywacja kieruje nami. Łacinę poznajemy ze względu na przeszłość, która nas tworzy, a język angielski z myślą o przyszłości, którą my będziemy tworzyć. Trzeba przyznać, że nic nie zastąpi dobrej hebelki sprawdzonym strugiem, ale gdy się ten żółb jeszcze dodatkowo polakieruje to jest dopiero coś. ■

# Niebiańska misja

Posłaniec. Miesięcznik katolicki, czerwiec 2007

o. Stanisław Groń SJ



Jedną z wielu historii o Aniele Bożym – Stróżu Naszym, opowiedziana w interesującej książce Wydawnictwa WAM *Spotkanie z aniołem – prawdziwe historie* zaczyna się takimi słowami: Na krótko przed tym, jak się rodzimy, anioł kładzie nam palec na usta i mówi: „Cicho sza, nie mów, co wiesz?”. Dlatego rodzimy się z wgłębieniem na górnej wardze i nie pamiętamy, skąd przyszliśmy.

Kiedy myślimy o aniołach, to zazwyczaj kojarzą się nam oni z gołymi dziecięcymi grubaskami zdobiącymi złociste barokowe ołtarze lub postrzegamy ich jako piękne, młode kobiety, ubrane w zwiewne szaty z złocistymi aureolami wokół głów. Tymczasem aniołowie opisani w Biblii,

wyglądali jak zwykli ludzie. Może jest tak i dzisiaj?

Sięgając po tę fascynującą lekturę amerykańskiej pisarki Joan Wester Anderson, mamy okazję przypomnieć sobie, że nie jesteśmy tylko dobrze uformowaną gliną, ale że jest w nas pierwiastek ducha. Taki jakiś „balonik łaski”, przypominający o tym, jak nauczał papież Pius XII, że powinniśmy poznawać aniołów już teraz, jeśli chcemy spędzić z nimi wieczność.

Nasz cel co do przyszłości jest jasny: mamy po ziemskim życiu, powrócić do Boga i żyć w wieczności z Nim i z Jego aniołami. Też nie może być ich pozbawiona, bo Ktoś ciągle troszczy się o nas. Ludzie, których historie zostały przedstawione w tej książce, nauczyli się, że nie muszą się obawiać przeszkód, bo Bóg podał im swoją dłoń, aby mogli się jej trzymać. Dał im też wszystko, czego potrzebowali: pokój, nadzieję i pocieszenie w swoich ramionach oraz w ramionach aniołów.

Pragnę serdecznie zaprosić Czytelników „Posłańca” do sięgnięcia po tę duchową lekturę, bo przypomina nam ona o zapomnianej nauce św. Augustyna. Nie tylko ci, którzy zostali ochrzczeni, otrzymują swojego anioła, ale każdy człowiek na ziemi.

Joan Wester Anderson zebrała w swej książce ponad 30 świadectw pochodzących od osób, które realnie doświadczyły obecności i pomocy niebiańskich duchów. Niezwykle ciekawie opisane wydarzenia dowodzą ingerencji aniołów w życie osób,

które doznały od nich pomocy w bardzo dramatycznych chwilach. Nie każde otarcie się o niebo kończyło się tragedią, ale większość z nich zawierała ostrzeżenie. Czytając te stronicze zobaczycie, jak wielu skorzystało z niebiańskiej przestrogi. Z pewnością zdumieją nas te historie, bo granice świata materii i ducha są bardzo cienkie i coś przez nie przenika.

Niech świadectwa opieki aniołów zaproszą nas do opowiedzenia naszych własnych przeżyć, których akcja rozegrała się na naszej ziemi z ich udziałem. Pewnie niejeden raz udało się nam otrzymać wsparcie od tego, który jest nami zawsze ku pomocy. Byłoby bardzo dobrze, aby polski czytelnik, zachęcony opowieściami pochodzącymi z obszaru innej kultury niż nasza,

podzielił się również swymi doświadczeniami o doznaniu anielskiej opieki na naszej ziemi i aby z tych opowieści powstała wspiana książka osadzona na gruncie nam bliskim, bo polskim.

Wiemy dobrze, że gdzie jest miłość, tam zdarzają się cuda. A miłości nie powinno nam brakować i nie brakuje. Dlatego znajdują się, jak sądzę, liczne ciekawe świadectwa o wspomagających nas aniołach. Tego czy wszystkie miejsca na naszej ziemi i na naszym niebie nadają się dla aniołów, pewnie dowiemy się, gdy opiszecie swoją historię spotkania z nimi.

Myślę, że aniołów nigdy pośród nas nie brakowało i nie brakuje. Przez nich też i dzisiaj Bóg rządzi sprawami ludzi. Nasze dni i noce i życie naszych bliźnich dowodzi, że wszędzie potrzebujemy ich pomocy. Doświadczenie Boga dane nam jest poprzez Jego posłańców i aż prosi się, abyśmy podzielił się tym doświadczeniem z innymi. Może przez to bardziej nauczymy się kochać aniołów i pewnie wzrośnie poczucie bezpieczeństwa, jakie oni z sobą nie tylko dla nas niosą. A może poprzez te opowiadania uda się nam lepiej poznać naturę aniołów i odkryjemy, na co ich stać! ■



Ryszard Tobiński  
„My Angel”



# Karol Antoniewicz - jezuita romantyczny

sch. Maciej Hamczyk SJ



## Karol Antoniewicz - Miłość

Jeżeli tylko snem jest nasze życie,  
Cóż jest miłości słodkie zachwycenie?  
Cóż łzy rozkoszy? cóż każde westchnienie,  
Co tkliwsze serca okazuje bicie?

Choć strumień nieszczęść leje się obficie  
I szczęście nie jest marne urojenie,  
Kiedy niezgasłe miłości płomienie  
W głąb czulej duszy wcisnęły się skrycie,

Gdy na jej śnieżnym wypoczywam łonie,  
Gdy w jej objęciu łzę smutku uronię,  
Obraz rozkoszy nigdy nie zatonie.

Jako snu słodkim marzeniem ujęty,  
Choć los w nieszczęścia wtrąci mnie odmęty,  
Ten płomień w duszy nie zagaśnie święty.

Przeglądając się sylwetce Karola Antoniewicza warto sięgnąć po książkę wydawnictwa WAM autorstwa o. Marka Ingłota SJ. Wydana została w serii „Wielcy ludzie Kościoła”, przybliżającej sylwetki ludzi, których życie zostawiło znaczący ślad w Kościele katolickim od jego początków aż do dwudziestego wieku. Ludzi zawsze niezwykłych, ale nie tylko świętych. W całej serii wydano już ponad pięćdziesiąt biografii. Chociaż pozycja poświęcona Antoniewiczowi nie jest już nowością (rok wydania: 2001), jest szczególnie cenna w roku Jego jubileuszu, a stanowi rzetelne

i zarazem przystępne źródło wiedzy o tym jezuitcie.

6 listopada tego roku przypada dwusetna rocznica urodzin Karola Antoniewicza – jezuita, poety, kompozytora, społecznika. Nie jest powszechnie znany, choć jego życie było bardzo interesujące. Zanim wstąpił do zakonu, znalazł bowiem czas na studia, udział w Powstaniu, a nawet na małżeństwo. Można powiedzieć, że wpisał się doskonale w rys dziewiętnastowiecznego, romantycznego szlachcica dżentelmena, pisarza, podróżnika, miłośnika przyrody. Bogatego życia nie zakończył

w momencie wstąpienia w szeregi Towarzystwa Jezusowego. Jego życiorys jako jezuita jest równie interesujący jak ten sprzed przywdziania sukni zakonnej.

Antoniewicz urodził się we Lwowie 6 listopada 1807 r. Wychowując się w głęboko wierzącej rodzinie szlacheckiej (katolickiej obrządku ormiańskiego) stawał się dobrze wykształconym, młodym patriotą. Uczył się języków, kochał muzykę i przyrodę, bardzo lubił przebywać na wsi, której wiele miejsca poświęcał w swoim pisarstwie. Jego zainteresowanie dziką przyrodą wpisuje się w nowe, dziewiętnastowieczne, podejście do natury. Wcześniej kulturalny człowiek uważał ją za niebezpieczną i niegodną uwagi. Dopiero romantyzm docenił jej piękno.

Wybierając kierunek studiów Antoniewicz, pewnie ze względu na swego zmarłego ojca – prawnika, zdecydował się na prawo w swoim rodzinnym mieście. Ciągłe oddawał się też muzyce, poezji i prozie. Po skończonych z wyróżnieniem studiach odbył kilka podróży, z których wspomnienia przeniósł na papier. Kiedy wybuchło Powstanie Listopadowe nie potrafił zostać w domu, tylko chwycił za broń i dołączył do walki o wyzwolenie Ojczyzny. Po klęsce udał się na krótką emigrację, a następnie wrócił do kraju i ożenił się. Małżeństwo to trwało siedem lat. W tym czasie zmarły wszystkie z pięciorga dzieci, a zakończyło się śmiercią ukochanej żony Karola – Zofii. Ta tragedia zerwała więzy, jakie łączyły go ze światem i skierowała do jezuitów, o których myślał już wcześniej.

Wstąpienie do zakonu nie było wbrew pozorom tylko ucieczką od rozpacz. Jezuiti potrzebują ludzi odważnych, ale nie zdesperowanych, a Antoniewicz cały czas dawał dowody swojej przydatności. W nowicjacie uczył współbraci języków,

podczas studiów głosił już kazania i nauczał katechezy. Za tym, że nie chciał zupełnie zerwać z dawnym życiem świadczy fakt, iż nie przestał pisać – choć wtedy już szczególnie pieśni kościelne (np. słynne „Chwalcie łąki umajone”, do której natchnienia dostarczyły krajobrazy wokół nowicjatu w Starej Wsi). Pracując jako jezuita, Antoniewicz przebywał w Nowym Sączu, Krakowie, Piekarach Śląskich, Poznaniu, Tarnopolu, oraz wędrował po różnych miejscowościach Galicji i Wielkopolski. Najtrudniejszym chyba jego zadaniem były misje wśród chłopów po rabacji. Ksiądz przecież był postrzegany jako przedstawiciel „państwa”, czyli szlachty i trudno było uwierzyć w jego dobre intencje. Słyszając jednak o Bożym miłosierdziu wiele serc kruszało i misjonarz wysłuchał wielu szczerych spowiedzi.

Po rabacji nie zaznał jednak wiele spokoju. Już w 1848 cesarz Franciszek Józef jako jedną z odpowiedzi na Wiosnę Ludów wydał dekret znoszący zakon jezuitów. Ojciec Karol zaczął się tułać po terenach Polski i ewangelizować gdziekolwiek się znalazł. Tak trafia na Śląsk i do Wielkopolski, gdzie głosi naukę Chrystusa i troszczy się o chorych. Właśnie w Poznańskim Antoniewicz został przełożonym klasztoru w Obrze, który oddano jezuitom. Niedługo potem wyszło na jaw, że pracując w szpitalu zaraził się cholera. Choroba doprowadziła go do śmierci 14 listopada 1852 roku. Echa żałoby odbijały się po całym kraju, bo zmarły znany był powszechnie dzięki swojej działalności.

Na zbliżającą się rocznicę urodzin Antoniewicza wypada mówić o tym wielkim patriocie, poecie, kaznodziei. Chciałoby się nazwać go człowiekiem renesansu, ale jego dramatyczne życie pokazuje, że był z całą pewnością przedstawicielem swojej epoki – człowiekiem romantyzmu. ■

# Postsecesyjny ołtarz św. Józefa

o. Stanisław Groń SJ



Wapsydach naw bocznych Bazyliki Najświętszego Serca Pana Jezusa w Krakowie przy ul. Kopernika 26, znajduje się sześć ołtarzy znanego rzeźbiarza absolwenta krakowskiej Akademii Sztuk Pięknych, Karola Hukana (1888-1958). Są doskonale zharmonizowane stylistycznie i zostały wykonane w alabastrowym gipsie w latach 1920-30. Przedstawiają czterech świętych jezuickich: Ignacego z Loyoli, Stanisława Kostkę, Andrzeja Bobolę, Alfonsa Rodrigueza oraz Matkę Bożą Anielską i św. Józefa, Opiekuna rodzin i Kościoła. Wyglądają niezwykle okazale na tle ciekawej polichromii ornamentalno-roślinnej zdobiącej sklepienia apsyd zaprojektowanych przez Jana Bukowskiego (1873-1943), malarza i grafika, absol-

wenta krakowskiej Szkoły Sztuk Pięknych i Akademii Monachijskiej. Znaczna część realizacji rzeźbiarskich Hukana wiąże się z Krakowem, gdzie stale mieszkał.

W tym też mieście możemy podziwiać wiele ciekawych jego prac m.in. głowy 12 apostołów i 6 świętych polskich, umieszczone na drzwiach kruchty zachodniej w kościele Mariackim oraz alegoryczne kompozycje w kamieniu na attyce Banku Polskiego wyobrażające Rolnictwo i Przemysł. Również na kilku fasadach kamienic krakowskich widnieją godła jego autorstwa. Jego znanym dziełem jest też grobowiec rodziny Folterów na Cmentarzu Rakowickim i sarkofag prof. Tadeusza Banachiewicza w Krypcie Zasłużonych w kościele na Skałce. Hukan wykonał też



liczne płaskorzeźby portretowe: (Asnyka, Chmielowskiego, Bąkowskiego, ks. Skargi, Stachowicza, Wyspiańskiego, Żeleńskiego, Bertla), na tablicach pamiątkowych umieszczonych na fasadach domów w Krakowie. Swe rzeźby wykonywał w kamieniu, stiuku, brązie, drewnie, gipsie i glinie. Swą znaczącą rolę miał też w polskiej sztuce medalierskiej.

W czerwcu 1921 roku Karol Hukan – utalentowany uczeń Konstantego Laszczki, zaprojektował do kościoła jezuitów ołtarz św. Józefa i w swej pracowni wykonał jego gipsowy model. Rok później (21 III 1922) podpisał umowę z krakowskimi jezuitami o wykonanie dzieła. Na jej podstawie zobowiązał się: „wyrzeźbić w stiuku ołtarz św. Józefa w terminie około 20 miesięcy”. Artyście w pracach pomagali: Michał Rychlewicz – sztukator, Jan Okład oraz Grzegorz Pawłowski. Po 36 miesiącach pracy (19 III 1925) ołtarz był gotowy. Przedstawia dynamiczną grupę dziewięciu figur z dobrze zarysowaną płynną postsecesyjną linią. Usytuowany został w środkowej apsydzie bocznej, północnej nawy świątyni. Swym urokiem zachwyca nas nie tylko nastawa ołtarzowa, ale także antypedium, które zdobi stiukowa płaskorzeźba, położona i patynowana, ze sceną ucieczki Świętej Rodziny do Egiptu, wykonana również przez K. Hukana.

Kompozycja ołtarzowa prezentuje się majestatycznie. W centrum, pośród grupy figur, stoi św. Józef, ukazany w prostocie i dostojeństwie. Ma wygląd młodego, przystojnego mężczyzny, ubranego w długą suknię. Przemawia siłą i mocą swego wyrazu. W prawej dłoni ma lilię z rozwiniętymi kwiatami – symbol niewinności. Na lewej zaś ręce trzyma Dziecię Jezus, które rączką czule dotyka jego szyi, na znak, że miłuje tego, którego Bóg wyznaczył mu za opiekuna. Drugą rączkę mały Jezus wyciąga ku patrzącym na ołtarz i tym zapraszającym gestem wzywa wszystkich, jakby

mówiąc: Pójdźcie do Józefa! Znajdziecie w nim najlepszego ojca i opiekuna.

Na to zaproszenie i wezwanie odpowiada natychmiast namiestnik Chrystusa przedstawiony w jednej z figur ołtarzowych, papież, błogosławiony Pius IX, który zwołał I Sobór Watykański i ogłosił dogmat o Niepokalanym Poczęciu NMP. On to zwraca z ufnością swoją stroskaną głowę, na której ciąży papieska tiara, ku św. Józefowi. Lewą ręką wskazuje na Bazylikę św. Piotra w Rzymie, symbol Kościoła powszechnego. W prawej ręce trzyma rozwinięty zwój pergaminowy, na którym widnieją łaćńskie napisy: *Immaculata conceptio, Syllabus, Vaticanum*. Tenże papież Dekretem *Quemadmodum Deus* z 8 XII 1870, a potem *Listem apostolskim Inclytum Patriarcham* z 7 VII 1871 r. ogłosił uroczyste św. Józefa Patronem Kościoła powszechnego. Ponad 80 lat później inny papież, Pius XII, ogłosił św. Józefa Patronem robotników (w 1955 roku), ustanawiając dzień 1 maja jego wspomnieniem liturgicznym.

Obok papieża widzimy trzy klęczące postacie, które oddają się pod opiekę św. Patriarchy. Jest to rodzina chrześcijańska: młoda matka i ojciec, a pośród nich dziecko. Ubóstwo i ciężka praca wycisnęły swe piętno na wychudłej twarzy młodego ojca. Jest on rzemieślnikiem, na co wskazują leżące obok niego narzędzia pracy. Mężczyzna i jego żona promieniają radością, łączy ich owoc miłości – dziecko. Zwraca uwagę prostota ich stroju i ciekawe uczesanie. Ta grupa postaci adoruje Józefa, zaznaczając w ten sposób, że jest on patronem rodzin chrześcijańskich.

Po przeciwległej stronie papieża, widzimy hiszpańską mistyczkę św. Teresę z Ávili (1515-1582), wpatrzoną w zachwycie w św. Józefa. Jest ona znana jako reformatorka Karmelu i wielka czcicielka Oblubieńca Maryi. W 1970 roku została ogłoszona

Doktorem Kościoła przez Pawła VI. Zakonnica klęczy i spogląda na twarz Świętego. Jej zakonny habit jest rozwiany i mocno pofałdowany, co dobrze harmonizuje z postacią papieża ukazaną w stroju liturgicznym po przeciwległej stronie ołtarza. Teresa w lewej ręce trzyma otwartą księgę, zaś prawą ma przyłożoną do szkaplerza na wysokości serca. W prawej dłoni trzyma gęsie pióro. Oba te rekwizyty: otwarta książka i pióro są symbolami mistycznych przeżyć wyrażonych w jej pismach.

Święty Józef czczony jest jako patron dobrej śmierci i dlatego jego skuteczna pomoc okazuje się przede wszystkim w ostatnich chwilach życia. Tę ideę wstawiennictwa pięknie wyraził w scenerii ołtarzowej nasz rzeźbiarz, wkomponowując w grupę osób adorujących św. Józefa, postać umierającego starego człowieka – pielgrzyma, któremu wypada z ręki kostur wędrowny. Pielgrzym słania się ku ziemi, wyczerpany trudami życia i chorobą. Postać ta symbolizuje człowieka, którego życie dobiega ziemskiego kresu. Na jego twarzy widzimy omdlenie, a w jego sercu rodzi się lęk. Wydaje się jednak, że jest on jedynie chwilowy, pielgrzym bowiem otwiera szeroko oczy i w godzinie śmierci widzi przy sobie opiekuńczego Anioła Stróża, jakby czuje dotknięcie jego krzepiącej, anielskiej dłoni. Umiera spokojnie i z ufnością w sercu, bowiem św. Józef nie opuszcza swego wiernego czciciela w najważniejszej dla niego godzinie rozstania się ze światem.

Całość kompozycyjna ołtarza charakteryzuje się niezwykłym dynamizmem. Podkreślają go rozwiane skrzydła anielskie, pofałdowane szaty, rozwichrzone włosy mężczyzny, dziecka i Dzieciątka Jezus oraz dynamiczne, wyraziste gesty postaci. Wydaje się, jakby wiatr przenikał całą scenerię ołtarza i tchnął w niego ruch.

Świętemu Patriarsze polecali się chrześcijanie wszystkich czasów. Wyraża to Lita-

nia do św. Józefa, która ujmuje wszystkie jego przywileje: Przesławny potomek Dawida, światło patriarchów, przezysty stróż Dziewicy, wzór pracujących, ozdoba życia rodzinnego, opiekun dziewic, podpora rodzin, pociecha nieszczęśliwych, nadzieja chorych, patron umierających, postrach duchów piekielnych, opiekun Kościoła Świętego.

Józef czuwał nad Jezusem, chronił Go, uczył swego zawodu i wniósł wkład w Jego kształcenie. Został powołany by być przybrany ojcem Jezusa i małżonkiem Maryi. Św. Mateusz nazwał go: Józef, mąż Maryi. Józef wziął do siebie Maryję wraz z całą tajemnicą Jej macierzyństwa, razem z Synem, który miał przyjść na świat za sprawą Ducha Świętego. Mieszkańcy Nazaretu pewnego razu nazwali Jezusa: synem cieśli. Miłość Józefa do Maryi była spokojna i żarliwa, wzruszająca i czuła. Otrzymał on od Boga dwa skarby: Jezusa i Maryję, które stanowiły rację jego życia. Żył pośród niewypowiedzianych radości, mając przy sobie Jezusa i Maryję, ale równocześnie wśród niepewności i cierpień, takich jak zakłopotanie wobec dokonującej się w Maryi tajemnicy, której on jeszcze nie znał. Przeżył różne sytuacje, nie zawsze miłe z ludzkiego punktu widzenia. Przestał zajmować się sobą samym od chwili, kiedy pouczony przez anioła we śnie przyjął zamiary Boga wobec siebie i Maryi. Zaczął żyć dla tych, którym mu powierzono. Żył jak zwykły człowiek, któremu jednak Bóg powierzył wielkie rzeczy.

Życie jego było wypełnione pracą w Nazarecie, w Betlejem, w Egipcie i ponownie w Nazarecie. Cieśla w Palestynie był człowiekiem cenionym i z pewnością znanym w okolicy. Ewangelia mówi nam, że był człowiekiem sprawiedliwym. Jako rzemieślnik wyrabiał najróżniejsze przedmioty: stoły, jarzma, drzwi, dzieże. Św. Józef stanowi dla nas swego rodzaju zwierciadło, w którym mamy się przeglą-

dać i odkrywać, jak uświęcić nasze życie. Jego życie polegało na ustawicznym oddawaniu się bez zastrzeżeń woli Bożej dla dobra Świętej Rodziny. Żył on w napięciu życiowej dynamiki wyrażonej w Ewangeliach czasownikami: wstać, iść, wziąć, natychmiast wracać. Boża siła wytrącała go ze spokoju życia, pokazując mu różne drogi, a w dzień i w nocy przynaglała do ważnych decyzji. On uczy nas, abyśmy byli mężni w trudnościach, patrząc zawsze na

Święta Teresa z Áwili w swej *Księdze życia* napisała: *Pragnęłabym wszystkich pociągnąć do pobożnej czci tego chwalebego Świętego – wiedząc z długoletniego doświadczenia, jak wiele dobra jest on w stanie wyjednać nam u Boga. Nigdy jeszcze nie spotkałam nikogo, kto by prawdziwie miał do niego nabożeństwo i szczególnie mu cześć oddawał i nie osiągnął coraz większych korzyści w cnocie, bo w sposób dziwnie skuteczny wspomaga każdą duszę, która*



Jezusa. Jest Patronem dobrej śmierci, bo nikt nie miał śmierci łagodniejszej i bardziej pogodnej niż on. Zwracamy się często do niego, szczególnie wówczas, kiedy pomagamy innym w ostatnich chwilach życia. Prośmy go o pomoc, by poprowadził umierających, kiedy przyjdzie im udać się do Domu Ojca, przed oblicze Jezusa i Maryi.

Kościół uczy, że święci w niebie mogą wstawiać się za nami ofiarując Bogu swoje zasługi zdobyte na ziemi za nas, którzy ciągle jeszcze znajdujemy się w drodze.

*się mu poleca. Od wielu już lat, o ile pamiętam, co roku w dzień święta jego proszę go o jakaś łaskę i zawsze ją otrzymuję, a jeśli prośba moja jest w czymś niewłaściwa, on ją zawsze sprostuje dla większego dobra mego. (...) Proszę (...) każdego, kto by mi nie wierzył, niech spróbuje, a z własnego doświadczenia przekona się, jak dobra i pożyteczna to rzecz, polecać się temu chwaleb-nemu Patriarsze i go czcić.*

Kościół szuka u św. Józefa takiego samego oparcia, jakie znalazła w nim Święta Rodzina z Nazaretu. Ucieka się do jego po-





Pośród grupy figur, stoi św. Józef, ukazany w prostocie i dostojności. Ma wygląd młodego, przystojnego mężczyzny, ubranego w długą suknię. Przemawia siłą i mocą swego wyrazu. W prawej dłoni ma lilię z rozwiniętymi kwiatami – symbol niewinności. Na lewej zaś ręce trzyma Dziecię Jezus, które rączką czule dotyka jego szyi, na znak, że miłuje tego, którego Bóg wyznaczył mu za opiekuna.

mocy i obrony. Jego opieka obejmuje ludzi dążących do świętości pośród zwyczajnej, codziennej pracy, rodziny chrześcijańskiej i tych, którzy wkrótce opuszczą świat, udając się do Domu Ojca. Patronat Józefa nad Kościołem jest przedłużeniem jego opieki sprawowanej nad Jezusem Chrystusem, głową Kościoła i nad Maryją, Matką Kościoła. Społeczność Kościoła dojrzała do takiego przekonania i ustami papieża, bł. Piusa IX, w dziewiętnastym wieku ogłosiła go Patronem Kościoła powszechnego. Ojcostwo św. Józefa odnosiło się nie tylko do Jezusa, lecz wciąż odnosi się do całego Ko-

ścioła, który kontynuuje na ziemi zbawczą misję Chrystusa. Wyrazem tego jest włączenie przez papieża Jana XXIII imienia tego świętego do Kanonu Rzymskiego, aby wszyscy chrześcijanie czcili jego pamięć. Niech znakiem naszego oddania się jemu będzie modlitwa: Bądź zawsze, św. Józefie, naszym obrońcą. Niech Twój wewnętrzny duch pokoju, milczenia, pracy i modlitwy w służbie Świętemu Kościołowi ożywia nas i raduje w jedności z Twoją małżonką, naszą najstarszą i niepokalaną Matką, w mocnej i delikatnej miłości do Jezusa, naszego Pana. ■

# Drodzy czytelnicy.

Kolejny już raz prosimy Was o udostępnianie naszego czasopisma waszym krewnym, przyjaciółom, znajomym... Prosimy również o przesłanie adresów osób zainteresowanych otrzymywaniem "Jezuici - Nasze Wiadomości". Nasze czasopismo jest rozsyłane nieodpłatnie. Jeżeli Państwo zechcecie wesprzeć kształcenie naszych kleryków oraz naszą działalność apostolską, możecie przysłać ofiary na podane niżej konto. Za wszystkie ofiary składamy serdeczne "Bóg zapłać".

Prowincja Polski Południowej TJ  
Krag Przyjaciół Jezuitów  
Bank PKO SA III/O Kraków  
swift: PKO PPLPW  
PL 61124022941111000037088947

o. Paweł Brożyniak SJ  
opiekun *Kręgu Przyjaciół Jezuitów*  
Księża Jezuitów,  
30-961 Kraków 1, skr. p. 128,  
tel. 607 227 227  
e-mail: P.Brozyniak@jezuici.pl

## Warto odwiedzić:

[www.jezuici.pl](http://www.jezuici.pl)



[www.jezuici.pl/powolania](http://www.jezuici.pl/powolania)



[www.jezuici.pl/nowicjat](http://www.jezuici.pl/nowicjat)  
[www.jezuici.pl/nowicjatpme](http://www.jezuici.pl/nowicjatpme)



[www.rekolekcje.vel.pl](http://www.rekolekcje.vel.pl)



[www.jezuici.pl/naszewiadomosci](http://www.jezuici.pl/naszewiadomosci)



# WWW



# NIE IDŹ PRZEZ ŻYCIE OWCZYM PĘDEM

**Jezuickie Duszpasterstwa Powołań**

Prowincja  
Wielkopolsko-Mazowiecka:  
[www.jezuici.pl/pow](http://www.jezuici.pl/pow)

Prowincja Południowa:  
[www.jezuici.pl/powpme](http://www.jezuici.pl/powpme)



**Czytanie i oglądanie tych treści  
może wywoływać kryzys  
powołania do życia w rodzinie.**